W GDAŃSKU

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1,20 zł – 8 stron | Warszawa, 8 marca 1953 r. | Nr 10 (154) Rok IV

JÓZEF STALIN NIE ŻYJE

Od Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Rady Ministrów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR.

Do wszystkich członków Partii, do wszystkich ludzi pracy Związku Radzieckiego

Drodzy Towarzysze i Przyjaciele!

Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Rada Ministrów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z uczuciem głębokiego bólu powiadamiają partię i wszystkich ludzi pracy Związku Radzieckiego, że 5 marca o godzinie dziewiątej minut pięćdziesiąt wieczorem, po ciężkiej chorobie zakończył życie Przewodniczący Rady Ministrów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i Sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Józef Wissarionowicz Stalin.

Przestało bić serce współbojownika i genialnego kontynuatora dzieła Lenina, mądrego Wodza i Nauczyciela Partii Komunistycznej i narodu radzieckiego — Józefa Wissarionowicza Stalina.

Imię Stalina jest bezgranicznie drogie naszej partii, narodowi radzieckiemu, masom pracującym na całym świecie. Wraz z Leninem towarzysz Stalin stworzył potężną partię komunistów, wychował ją i zahartował; wraz z Leninem towarzysz Stalin był źródłem natchnienia i Wodzem Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, założycielem pierwszego na świecie państwa socjalistycznego. Kontynuując nieśmiertelne dzieło Lenina, towarzysz Stalin poprowadził naród radziecki do historycznego w skali światowej zwycięstwa socjalizmu w naszym kraju. Towarzysz Stalin poprowadził nasz kraj do zwycięstwa nad faszyzmem w drugiej wojnie światowej, co w sposób zasadniczy zmieniło całą sytuację międzynarodową. Towarzysz Stalin uzbroił partię i cały naród w wielki i jasny program budowy komunizmu w ZSRR.

Śmierć towarzysza Stalina, który oddał całe swe życie ofiarnej służbie dla wielkiej sprawy komunizmu, jest najcięższą stratą dla partii, dla mas pracujących Kraju Rad i całego świata.

(Dokończenie na str. 2-ej)

Do Robotników, Chłopów i Inteligencji Pracującej!
Do Kobiet Polskich i Młodzieży!
Do Żołnierzy Polskich!
Do Narodu Polskiego!

Towarzysze i Obywatele!

Cała postępowa ludzkość z najwyższym bólem przyjęła tragiczną wieść o zgonie największego Człowieka naszych czasów — Józefa Stalina.

Wraz z narodami Związku Radzieckiego szczególnie głęboko i boleśnie przeżywa ten wielki cios naród polski, który towarzyszowi Józefowi Stalinowi zawdzięcza swe wyzwolenie z ponurej hitlerowskiej niewoli, swe odrodzenie, odzyskanie prastarych Ziem Polskich, utrwalenie swej niepodległości.

Masy pracujące Polski wiedzą, że ich historyczne przeobrażenia społeczne, wyzwolenie z jarzma obszarników i kapitalistów, zdobycie władzy przez lud pracujący i umocnienie państwa ludowego, olbrzymie osiągnięcia w budowie nowego życia — wiążą się nierozerwalnie z braterską pomocą narodów radzieckich, z serdeczną troską i ojcowską opieką Wodza i genialnego Nauczyciela mas pracujących całego świata, Wielkiego Przyjaciela naszego narodu — Józefa Stalina.

W tej ciężkiej chwili z największą mocą odczuwamy serdeczną i nierozerwalną więź narodu polskiego z Wielkim Krajem Radzieckim.

W tej ciężkiej chwili głębiej niż kiedykolwiek odczuwamy niezwyciężoną siłę i zwartość całego światowego obozu pokoju, którego natchnieniem był, jest i będzie Józef Stalin.

Mocniejsza niż kiedykolwiek jest nasza spójnia ideowa i braterstwo w walce o pokój, wolność narodów i socjalizm, której wzór daje nam wielka bohaterska partia Lenina i Stalina.

Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Rada Ministrów i Rada Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wzywają masy pracujące i cały naród polski do złożenia hołdu nieśmiertelnemu Wodzowi ludu pracującego całego świata.

(Dokończenie na str. 2-ej)

Od Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Rady Ministrów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Wieść o zgonie towarzysza Stalina wzbudzi głęboki ból w sercach robotników, kołchoźników, inteligencji i wszystkich ludzi pracy naszej Ojczyzny, w sercach żołnierzy naszej mężnej Armii i Marynarki Wojennej, w sercach milionów ludzi pracy we wszystkich krajach świata.

W tych dniach pełnych bólu wszystkie bratnie narody naszego kraju jeszcze bardziej zespalają się w wielkiej zwartej rodzinie pod wypróbowanym kierownictwem Partii Komunistycznej stworzonej i wychowanej przez Lenina i Stalina.

Naród radziecki żywi bezgraniczne zaufanie i przepojony jest gorącą miłością do swej ukochanej Partii Komunistycznej, bo wie, że służenie interesom narodu jest najwyższym prawem całej działalności partii.

Robotnicy, kołchoźnicy, inteligencja radziecka, wszyscy ludzie pracy naszego kraju nieugięcie realizują politykę, opracowaną przez naszą partię, odpowiadającą żywotnym interesom mas pracujących, zmierzającą do dalszego wzrostu potęgi naszej socjalistycznej Ojczyzny. Słuszność tej polityki Partii Komunistycznej potwierdzona została przez dziesięciolecia walki, doprowadziła ona masy pracujące Kraju Rad do historycznych zwycięstw socjalizmu. Natchnione tą polityką narody Związku Radzieckiego pod kierownictwem partii niezachwianie kroczą naprzód ku nowym sukcesom budownictwa komunistycznego w naszym kraju.

Masy pracujące naszego kraju wiedzą, że dalsza poprawa dobrobytu materialnego wszystkich warstw ludności — robotników, kołchoźników, inteligencji, maksymalne zaspokajanie stale rosnących potrzeb materialnych i kulturalnych całego społeczeństwa zawsze było i jest przedmiotem szczególnej troski Partii Komunistycznej i Rządu Radzieckiego.

Naród radziecki wie, że wzrasta i krzepnie zdolność obronna i potęga państwa radzieckiego, że partia ze wszech miar umacnia Armię Radziecką, Marynarkę Wojenną i organa wywiadu, aby stale wzmagać naszą gotowość do udzielenia druzgocącej odprawy każdemu agresorowi.

Polityka zagraniczna Partii Komunistycznej i Rządu Związku Radzieckiego była i jest niewzruszoną polityką utrzymania i utrwalenia pokoju, polityką walki przeciwko przygotowywaniu i rozpętywaniu nowej wojny, polityką współpracy międzynarodowej i rozwoju stosunków handlowych ze wszystkimi krajami.

Narody Związku Radzieckiego, wierne sztandarowi proletariackiego internacjonalizmu, umacniają i rozwijają braterską przyjaźń z wielkim narodem chińskim, z masami pracującymi wszystkich krajów demokracji ludowej, więzy przyjaźni z masami pracującymi krajów kapitalistycznych i kolonialnych, walczącymi o sprawę pokoju, demokracji i socjalizmu.

Drodzy towarzysze i przyjaciele! Wielką siłą przewodnią i kierowniczą narodu radzieckiego w walce o zbudowanie komunizmu jest nasza Partia Komunistyczna. Żelazna jedność i niewzruszona zwartość szeregów partii — to główny warunek jej siły i potęgi. Zadaniem naszym jest strzec jedności partii jak źrenicy oka, wychowywać komunistów na aktywnych bojowników politycznych o wcielenie w życie polityki i uchwał partii, wzmacniać jeszcze bardziej więź partii z wszystkimi ludźmi pracy, z robotnikami, kołchoźnikami, inteligencją, albowiem w tej nierozerwalnej więzi z narodem tkwi siła i niezwyciężoność naszej partii.

Partia widzi jedno ze swych najważniejszych zadań w tym, aby wychowywać komunistów i wszystkich ludzi pracy w duchu wysokiej czujności politycznej, w duchu nieprzejednania i niezłomności w walce z wrogami wewnętrznymi i zewnętrznymi.

Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Rada Ministrów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, zwracając się w tych bolesnych dniach do partii i narodu, wyrażają niezłomne przekonanie, że partia i wszyscy ludzie pracy naszej Ojczyzny zespolą się jeszcze bardziej wokół Komitetu Centralnego i Rządu Radzieckiego, zmobilizują wszystkie swe siły i energię twórczą do realizacji wielkiego dzieła budowy komunizmu w naszym kraju.

Nieśmiertelne imię Stalina żyć będzie zawsze w sercach narodu radzieckiego i całej postępowej ludzkości.

Niech żyje wielka niezwyciężona nauka Marksa — Engelsa — Lenina — Stalina! Niech żyje nasza potężna Ojczyzna socjalistyczna! Niech żyje nasz bohaterski naród radziecki! Niech żyje wielka Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego!

KOMITET CENTRALNY
KOMUNISTYCZNEJ PARTII
ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

RADA MINISTRÓW
ZWIĄZKU SOCJALISTYCZNYCH
REPUBLIK RADZIECKICH

PREZYDIUM RADY NAJWYŻSZEJ
ZWIĄZKU SOCJALISTYCZNYCH
REPUBLIK RADZIECKICH

Dnia 5 marca 1953 roku.

Do Robotników, Chłopów i Inteligencji Pracującej! Do Kobiet Polskich i Młodzieży! Do Żołnierzy Polskich! Do Narodu Polskiego!

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Wcielając w życie Jego nauki, wzmacniajmy nieustannie zwartość, siłę i jedność naszego narodu w walce o pokój i socjalizm!

Codzienną twórczą i ofiarną pracą rozwijajmy naszą planową gospodarkę narodową — podstawę wzrostu dobrobytu i kultury całego ludu pracującego.

Otaczajmy troską i miłością Wojsko Polskie — wierną straż naszych granic i wolności naszej Ojczyzny.

Wzmacniajmy nieustannie czujność wobec wszelkich nikczemnych zakusów imperialistycznych podżegaczy wojennych — wrogów Polski!

Pomnażajmy siły naszego państwa ludowego — ostoi naszej niepodległości, a zarazem ważnego i niezłomnego ogniwa światowego obozu pokoju, którego sztandarem — jest Stalin!

Z imieniem Stalina, uzbrojeni w Jego naukę, łamiąc opór wrogów i zacieśniając więź braterstwa z narodami ZSRR, kroczmy zwycięsko naprzód pod przewodem klasy robotniczej i jej partii do ugruntowania naszej niepodległości, pokoju i socjalizmu!

KOMITET CENTRALNY
POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ
PARTII ROBOTNICZEJ

RADA MINISTRÓW
POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ
LUDOWEJ

RADA PAŃSTWA
POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ
LUDOWEJ

Warszawa, dnia 6 marca 1953 r.

Do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Do Rady Ministrów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich Do Prezydium Rady Najwyższej ZSRR — Moskwa

Drodzy Towarzysze i Przyjaciele!

Łączymy się z Wami w bólu i żałobie z powodu zgonu ukochanego naszego Wodza i Nauczyciela, natchnionego kontynuatora nieśmiertelnej nauki Marksa, Engelsa i Lenina, genialnego Budowniczego komunizmu, niezłomnego Chorążego światowego obozu pokoju, Wielkiego Przyjaciela narodu polskiego, któremu masy pracujące Polski zawdzięczają swe wyzwolenie z jarzma niewoli narodowej i społecznej.

Nieśmiertelne życie i dzieło Towarzysza Stalina będzie dla narodu polskiego natchnieniem i gwiazdą przewodnią w codziennej pracy i walce o zbudowanie nowego, socjalistycznego ustroju, będzie sztandarem w walce o zwycięstwo idei pokoju, postępu i wolności wszystkich pracujących na całym świecie.

Skupieni w zwartych i czujnych szeregach pod sztandarem największego Bojownika i Geniusza współczesnej epoki — Józefa Stalina, ślubujemy dochować wierności Jego naukom, strzec niezłomnie zasad internacjonalizmu i solidarności wszystkich ludzi pracy, stać na straży praw i zdobyczy ludu, których niezłomną i niezawodną rękojmią jest wieczysta przyjaźń i braterstwo ze Związkiem Radzieckim.

Zapewniamy Was, Towarzysze i Przyjaciele, że naród polski nie będzie szczędził sił, aby zwiększać i wzbogacać swój twórczy wkład do wspólnej walki o realizację wiecznie żywych idei, nauk i wskazań Wielkiego Stalina.

W IMIENIU
KOMITETU CENTRALNEGO
POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ
PARTII ROBOTNICZEJ,

RADY MINISTRÓW

I RADY PAŃSTWA
POLSKIEJ
RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

Bolesław Bierut

Aleksander Zawadzki

Warszawa, dnia 6 marca 1953 r.

* * *

Naród radziecki i wszystkie narody Europy zawdzięczają towarzyszowi Stalinowi zwycięstwo w ostatniej wojnie, rozgromienie hord hitlerowskich, wyzwolenie z niewoli.

Naród polski zawdzięcza mu ponadto, że Wojsko Polskie brało ramię w ramię z niezwyciężoną Armią Radziecką i przy jej boku czynny udział w tej wojnie. Dzięki towarzyszowi Stalinowi, dzięki jego wysokiej ocenie zalet bojowych naszego narodu, dzięki jego życzliwej troskliwości i wspaniałomyślności powstało Wojsko Polskie w trakcie wojny, zostało zaopatrzone w nowoczesny sprzęt wojenny, hartowało się w bitwach, zdobywało doświadczenie wojenne, które dziś jest wielką zdobyczą naszego wojska.

Naród polski zawdzięcza towarzyszowi Stalinowi wielki historyczny zwrot w stosunkach między Polską i ZSRR.

Towarzysz Stalin był promotorem i realizatorem zasadniczego przełomu w stosunkach między narodem rosyjskim, ukraińskim i białoruskim a narodem polskim.

* * *

Dzięki towarzyszowi Stalinowi Polska Ludowa odrodzona w nowych granicach, oparta o Odrę, Nysę i Bałtyk jest organizmem państwowym narodowo jednolitym, o zdrowej strukturze gospodarczej, o wielkich możliwościach rozwojowych.

Po uwolnieniu się z więzów kapitalistycznych, hamujących rozwój Polski, po położeniu kresu penetracji imperialistycznej, która skrzywiała i wypaczała rozwój Polski, zagrażając jej niepodległości — suwerenność Polski jest zabezpieczona.

Toteż zasługi towarzysza Stalina zarówno w dziele wskrzeszenia Polski jak i zabezpieczenia jej rozwoju, siły i rozkwitu są wiekopomne.

* * *

Całe życie i działalność praktyczna towarzysza Stalina, tak samo jak wszystkie jego prace teoretyczne, przepojone są najgłębszym internacjonalizmem rewolucyjnym. Jak Lenin, wczuwał się towarzysz Stalin w tętno światowego ruchu rewolucyjnego i tak samo jak Lenin żywo reagował na wszystkie jego przejawy i problemy. Swą mądrą, wnikliwą radą pomagał poszczególnym partiom w ramach Międzynarodówki Komunistycznej przełamywać trudności, usuwać przeszkody, wyprostowywać przegięcia czy odchylenia lub wahania ideologiczne. Polski ruch robotniczy, któremu przewodziła Komunistyczna Partia Polski, a w czasie wojny — PPR, wiele zawdzięcza głębokim, troskliwym radom i pomocy towarzysza Stalina. W procesie swego dojrzewania ideologicznego i organizacyjnego KPP, kierując bohaterską walką polskiego proletariatu, nie uniknęła poważnych kryzysów w wyniku odchyleń w kierownictwie partyjnym od linii politycznej Międzynarodówki Komunistycznej. Towarzysz Stalin brał kilkakrotnie osobiście udział w komisji polskiej powołanej przez egzekutywę MK dla rozwiązania powstałych problemów. Jego uwagi nosiły zwykle charakter zasadniczych rozważań teoretycznych lub organizacyjnych, były one zastosowaniem nauk marksizmu-leninizmu do konkretnych spraw, jakie wysuwało życie. Tego rodzaju pomoc miała wielkie znaczenie dla rozwoju partii w organizację bojową nowego typu, taką, jaką była WKP(b), w organizację wierną niezłomnie i do końca zasadom marksizmu-leninizmu.

BOLESŁAW BIERUT

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

SŁOWO O STALINIE

(FRAGMENTY)

Któż, jak On, przez dziesiątki lat
na dziobie okrętu wytrwał?
Szóstej Części przygląda się świat.
Bitwa.

Tam — bezrobocia, strajki, głód.
Tu — praca. Natchniony traktor.
Tworzy historię zwycięski lud.
Chwała faktom!

Któż, jak On, przez dziesiątki lat
wiódł ludzkość na krańce dziejów?
Jego imię — walczący świat:
nadzieja.

Rewolucjo! — któż wiatr powstrzyma,
kto ziemię zawróci w biegu?
Rewolucjo, tablice praw Rzymu
obalamy od Chin po Biegun!

Rewolucjo! siedemdziesiąt lat
Stalinowych powiewa nad światem.
I rodzi się nowy świat,
świat stary pęka jak atom.

*

Piękne i groźne jest morze,
gdy pędzi po falach szkwał,
piękny jest w niebie orzeł
nad szczytami urwistych skał,

piękny jest napór i trwanie,
piękny jest lot i polot:
morze zatrzyma granit,
orła wyprzedzi samolot,

myśli wyprzedzą czyny,
czyny legną opoką...
Chwała imieniu Stalina!
Pokój światu, pokój...

Orzeczenie lekarskie o przebiegu choroby i o śmierci J. W. Stalina

MOSKWA (PAP) Agencja TASS opublikowała następujące orzeczenie lekarskie o przebiegu choroby i o śmierci J. W. Stalina.

W nocy na 2 marca nastąpił u J. W. Stalina wylew krwi do mózgu (do lewej półkuli) na tle choroby nadciśnieniowej i miażdżycy. W wyniku tego nastąpiło porażenie prawej połowy ciała i trwała utrata przytomności. Od pierwszego dnia choroby stwierdzono objawy zakłócenia oddychania na skutek upośledzenia czynności ośrodków nerwowych. Zaburzenia te wzmagały się z dnia na dzień. Miały one charakter tzw. oddechu periodycznego z długimi przerwami (oddech Cheyne — Stokesa). W nocy na 3 marca zakłócenia oddechu zaczęły przybierać niekiedy groźny charakter. Od początku choroby stwierdzono również znaczne zmiany w układzie sercowo - naczyniowym, a mianowicie wysokie ciśnienie krwi, przyspieszenie i zakłócenie rytmu tętna (niemiarowość na tle migotania) i rozszerzenie serca. W związku z postępującą niewydolnością oddechu i krwiobiegu już od 3 marca wystąpiły objawy niedotlenienia. Od pierwszego dnia choroby podniosła się ciepłota i wystąpiła wysoka leukocytoza, co mogło wskazywać na rozwój ognisk zapalnych w płucach.

Ostatniego dnia choroby, przy gwałtownym pogorszeniu się stanu ogólnego, zaczęły pojawiać się powtarzające się ataki ciężkiej, ostrej niewydolności sercowo - naczyniowej (zapaść). Badanie elektrokardiograficzne pozwoliło na stwierdzenie ostrego zakłócenia krwiobiegu w naczyniach wieńcowych serca z utworzeniem się ogniskowych porażeń mięśnia sercowego.

5 marca w drugiej połowie dnia stan chorego zaczął szczególnie szybko ulegać pogorszeniu: oddech stał się powierzchowny i bardzo przyśpieszony, częstość tętna osiągnęła 140 — 150 uderzeń na minutę. Wypełnienie tętna obniżyło się.

O godz. 21 minut 50, wśród objawów narastającej niewydolności sercowo - naczyniowej i oddechowej, J. W. Stalin zmarł.

Minister ochrony zdrowia ZSRR — A. F. TRETIAKOW.

Szef zarządu leczniczo-sanitarnego Kremla — I. I. KUPERIN.

Naczelny internista ministerstwa ochrony zdrowia ZSRR — profesor P. E. ŁUKOMSKI

Rzeczywisty członek Akademii Nauk Medycznych — profesor N. W. KONOWAŁOW

Rzeczywisty członek Akademii Nauk Medycznych — profesor A. L. MIASNIKOW

Rzeczywisty członek Akademii Nauk Medycznych — profesor E. M. TAREJEW

Członek - korespondent Akademii Nauk Medycznych — profesor I. N. FILIMONOW

Profesor I. S. GŁAZUNOW.

Profesor R. A. TKACZEW

Docent W. I. IWANOW-NIEZNAMOW

RYSZARD MATUSZEWSKI

Ambitny debiut powieściowy

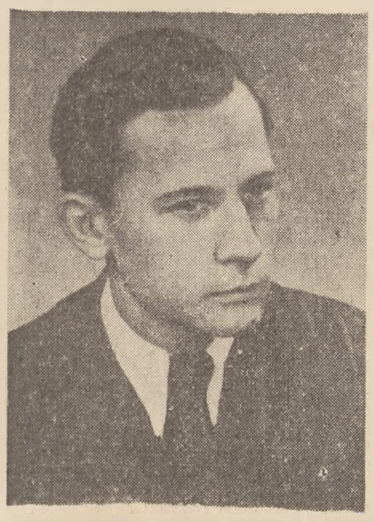

Andrzej Braun

Bez wahania można stwierdzić, że „Lewanty" Andrzeja Brauna*) są — od czasu ukazania się „Węgla" Ścibora Rylskiego — najambitniejszą próbą podjęcia tzw. tematyki produkcyjnej w naszej literaturze.

W czym widzę przejawy owej szlachetnej ambicji autora, debiutanta w prozie, które każą nam przywitać jego książkę z prawdziwą radością?

Dotychczasowe, krótkie doświadczenie naszej literatury, podejmującej nową problematykę walki o socjalizm pozwoliło nam zdać sobie sprawę z trudności, jakie stają przed pisarzami na tej drodze. Pierwsza trudność: nieznajomość środowisk pracy i ich problemów. Druga trudność: niedojrzałość ideologiczna, nieumiejętność dostrzeżenia typowych konfliktów walki klasowej w tego rodzaju środowiskach, nawet jeśli posiada się ich techniczną znajomość. Trzecia trudność: nieumiejętność wyciągnięcia artystycznych wniosków z wiedzy pierwszego i drugiego typu, założywszy już, że je pisarz posiada, nieumiejętność zbudowania interesującego wątku akcji w oparciu o te właśnie elementy, o typowe środowisko z typowymi dla niego postaciami i o typowe dla nich konflikty ideowe.

Bez przełamania pierwszej i drugiej z tych trudności niesposób w ogóle stworzyć powieść nowego typu, choćby się było mistrzem w wiązaniu wątku, w charakterystyce postaci i eksploatacji tego wąskiego kręgu osobistego doświadczenia, jakie posiada z natury rzeczy każdy żyjący na świecie człowiek. Sam brak dojrzałości politycznej „położy" także każdą książkę autora, który by posiadał najbardziej nawet drobiazgową, praktyczną „wiedzę o rzeczy", o budowie okrętów, o wydobyciu węgla, o łowieniu ryb i co kto chce jeszcze. Natomiast brak znajomości środowiska każe nawet najbardziej teoretycznie upolitycznionym, a przy tym świadomym swego rzemiosła artystom, cofać się przed wstąpieniem na grząski grunt takich zagadnień jak wieś, fabryka, budowa. Będą oni krążyć z mniejszym czy większym artyzmem wokół przemian inteligenta, zaprowadzą go nawet dla przyzwoitości na fabrykę czy budowę, dadzą jeden, dwa solidnie wystudiowane opisy i czmychną, bo oparcie **całego** wątku powieści o tak mało efektowne (dla nich!) sprawy jak współzawodnictwo pracy, przekraczanie norm, przemiany świadomości robotnika — to rzeczy nazbyt ryzykowne.

Rezultat? Ile mamy książek ciekawych, pełnowartościowych artystycznie o produkcji, o tej największej z bitew, jakie wydaliśmy światu starych pojęć i schematów? Mało, mało, nie powiem ile, bo bezużyteczna byłaby w tym miejscu kłótnia, co i o ile zasługuje na taką nazwę.

Celowo wprowadzam tutaj termin „powieść produkcyjna", termin niejednokrotnie podważany i kompromitowany. Podważać go i kompromitować łatwo, bo wiadomo, że powieść musi być zawsze o **człowieku**, a nie o produkcji, że produkcja to tylko tło, a właściwy temat — żywy człowiek itd. itd.

Ale co to znaczy? Czy to znaczy, **że wszystko jedno**, gdzie tego człowieka umiejscowimy? Wiadomo, że nie znaczy. Pojęcie tematyki współczesnej jest tu też zbyt szerokie: obejmuje i przemiany inteligenckie, i dzieje szabru na Ziemiach Odzyskanych, i wiele innych spraw — często także ważnych, ale nie najważniejszych.

A tu chodzi o linię generalną, o bitwę zasadniczą, o to, co toruje nam drogę do socjalizmu. I takich książek mamy mało, wciąż za mało, a jeśli mamy — to często złe.

I dlatego właśnie uważam książkę Brauna za bardzo ambitną i bardzo odważną.

Braun przezwyciężył i pierwszą, i drugą, i trzecią trudność na tyle, że się książkę czyta z niesłabnącym zainteresowaniem. Pokazał ludzi, pokazał środowisko, pokazał konflikty.

Okazało się, nie po raz pierwszy zresztą, że można głównym konfliktem uczynić sprawy takie jak współzawodnictwo i racjonalizacja pracy, że można pokazać jak te rzeczy wkraczają w losy ludzkie, jak je przekształcają i nie zubożyć przy tym perspektyw na całe życie człowieka.

Podstawowym walorem książki Brauna jest dobór typowy konfliktów, ciekawych postaci i zawiązanie żywego wątku akcji. Niedociągnięcia leżą raczej w szczegółach, w wątkach pobocznych, w niewykończeniu książki pod względem kompozycyjnym, w detalach psychologicznego rysunku postaci.

Jak wygląda treść książki? Na stoczni gdańskiej idzie wielka robota. Buduje się okręty. Ale buduje się rękami ludzi, którym nie rzadko brak doświadczenia, niekiedy brak ścisłego związania z warsztatem pracy. Stanowią oni często element płynny, niezakotwiczony, szukający łatwego, dogodnego zarobku. Stocznia nie zawsze ma możliwości zabezpieczenia tym ludziom odpowiednich warunków życiowych, a zwłaszcza mieszkaniowych. Prócz tego — na robotników czyhają tu nie lada pokusy. Idąc „na remonty" na obce statki, można na szmuglu zarobić lepiej niż na pracy produkcyjnej. A za szmuglem zarobkowym kryje się inny, groźniejszy: szmugiel wiadomości, na które czyha zagraniczny wywiad. Tu jest przecież jedno z owych niebezpiecznych „okien na świat", świat nie tylko przyjaciół, ale i wrogów.

Jak wyrasta w tej atmosferze walki nowe życie, nowa świadomość? Jak rozwijają się one uwikłane w tysiączne sprzeczności interesów i charakterów ludzkich? Jak wygląda tu zbiorowisko ludzi pracy, robotników i inżynierów-fachowców, rola dyrekcji stoczni, rola Partii? O tym mówi nam powieść Brauna.

Naczelnym konfliktem powieści jest walka o nowe metody pracy, o podniesienie wydajności produkcji, podwyższenie norm, długofalowe współzawodnictwo. Umiejscawia ją Braun na oddziale niterskim stoczni, gdzie jeden z robotników, bystry i inteligenty Michał Markowski wprowadza szereg pomysłów racjonalizatorskich, usprawniających montaż statków transportowych, przeznaczonych do handlu z Bliskim Wschodem, zwanych „Lewantami". Nowe metody są niepopularne przede wszystkim dlatego, że większość robotników początkowo nie rozumie ich znaczenia, widzi w ich wprowadzeniu jedynie dążenie do zwiększonej eksploatacji ich sił, a w możliwości podwyższenia norm — zamach na swoje zarobki. Konflikt zaostrza fakt, że inicjator nowych metod Markowski i jego przyjaciel Teofil Leon mają opinię pijaków i bumelantów. Z taką opinią przychodzą oni na oddział, przeniesieni z sekcji remontów, gdzie kilku robotników aresztowano za szmugiel i inne podejrzane sprawki. Markowski i Leon byli również przesłuchiwani przez UB, które wdało się w sprawę w związku z podejrzeniem o dostarczanie wiadomości obcemu wywiadowi, ale zostali zwolnieni. Obaj są partyjni i wśród robotników szerzy się wroga i demoralizująca plotka, że dlatego właśnie ich nie aresztowano. Sceną przesłuchania Markowskiego w Urzędzie Bezpieczeństwa otwiera Braun powieść i tu zaczyna się ciekawa historia Markowskiego i Leona, która splotem osobisto-życiowych konfliktów tych dwóch bohaterów podbudowuje zasadniczy problem książki. Konflikty te narastają w ścisłej współzależności i w tym leży chyba pierwsza główna zasługa kompozycyjna autora. Pokazuje on zgodnie z życiową prawdą, że nie ma odrębnej sfery praw „produkcyjnych" i osobistych, że nie da się ich traktować osobno, że jedne na drugie wpływają, jedne z drugimi się wiążą.

Kim jest Markowski? Starym towarzyszem partyjnym o dużych zasługach w latach walki z okupantem, którego złamało przejściowe złe pożycie z żoną oraz zmienione po wojnie warunki życiowe i względny dobrobyt w pierwszych latach Polski Ludowej. Markowski zaczął pić, opuszczać pracę, nie okazał się dostatecznie czujny wobec sprawek swoich współtowarzyszy pracy, rozluźnił więź z Partią. Sylwetka jego zarysowana jest plastycznie i wyraziście. Jest to— jak zaznaczyliśmy — człowiek o żywej inteligencji, ale trudny w stosunkach z ludźmi, ambitny, ale nieco zarozumiały, brutalny, uparty i pełen goryczy, której nie poskąpiło mu życie. Przesłuchanie w Urzędzie Bezpieczeństwa jest dla niego dużym wstrząsem. Oddziaływa na jego ambicję. Przeniesiony w nowe warunki pracy — staje się inicjatorem metod racjonalizatorskich, z początku wyłącznie ze względów ambicjonalnych, później z coraz bardziej rosnącą świadomością zasadniczego celu: podniesienia poziomu wydajności produkcji, pociągnięcia innych za sobą.

Stosunek większości robotników do Markowskiego jest przez cały czas jego walki nieufny lub wręcz wrogi. Przyczynia się do tego z jednej strony zła praca podstawowej organizacji partyjnej na oddziale, której sekretarz okazuje się oportunistą i ukrytym wrogiem. Z drugiej strony winien jest temu sam Markowski, który przez długi czas boczy się na Partię i nie szuka w niej pomocy, nawet wtedy, kiedy usiłuje go do tego skłonić sekretarz Komitetu Partyjnego stoczni — tow. Mokry.

Jego wysiłki tylko wśród kilku najbardziej wyrobionych towarzyszy spotykają się z pełnym zrozumieniem. Należy do nich — prócz przeciążonego pracą Mokrego — przede wszystkim „dziadek" Kaczor, wyjątkowo pięknie zarysowana przez Brauna postać starego robotnika-partyjniaka, który okazuje pomoc Markowskiemu w chwilach najcięższych. Poza tym pomaga mu czynnie w pracy, również wzruszający nas swoim zapałem i ofiarnością, Antek Śliwka, człowiek, który osiem godzin dziennie spędza w pociągu, dojeżdżając na stocznię z dalekiego Pelplina i nie opuszczając mimo to ani jednego dnia pracy. Stanowi on pierwszą i główną podporę racjonalizatorskiej piątki Markowskiego.

Ideowa reedukacja Markowskiego w wielkim procesie twórczej pracy produkcyjnej pokazana została przez Brauna w sposób bardzo przekonywający. Widzimy tego człowieka, czujemy go, rozumiemy jego troski, trawimy jego gorycz. Słabiej podbudowany jest punkt wyjściowy: źródła i przyczyny jego życiowego załamania. Te przyjąć musimy trochę na wiarę. Ideowa przemiana Markowskiego wiąże się ze zwycięstwem sprawy o którą walczył: jego metody pracy zostają powszechnie przyjęte, pociągają za sobą całą załogę stoczni. Jego sprawy osobiste zostają nierozwiązane.

Inną drogę zakreślił Braun losom drugiego bohatera — Teofila Leona. Demoralizacja Leona, reemigranta z Francji, jest o wiele dalej posunięta, aniżeli to ma miejsce z Markowskim. Ścierają się w nim: zawadiacka fantazja obieżyświata, którego zapał „rewolucyjny" natrafia na podatny grunt w pierwszym okresie konstytuowania się władzy ludowej na nieuporządkowanych terenach Ziem Odzyskanych, oraz wyraźnie słaba wola, brak jakichkolwiek zasad moralnych, wyniesionych po troszę — jak sugeruje autor — ze starego, zachodniego świata.

Leon nie jest mimo to — jak pozwalają wnioskować pewne zawarte w książce akcenty jego charakterystyki — jednostką zdecydowanie złą. Jest po prostu człowiekiem słabym. Po usunięciu z szeregów partyjnych próbuje popełnić samobójstwo. Dalsze jego losy, podobnie jak losy wszystkich prawie bohaterów powieści, pozostają niezamknięte.

Na charakterystyce Leona i związanych z nią wydarzeniach ciąży jednak poważna skaza, której można było uniknąć. Są nią przejaskrawienia naturalistyczne. Odnosi się wrażenie, że Braun, który czuł odrobinę epickiej sympatii dla tej nieokiełznanej postaci, bał się uczynić ją przypadkiem zbyt pociągającą i dlatego, jak gdyby przez przekorę, obnażył w sposób brutalnie naturalistyczny jej „pochroniowatość", co można było bez trudu osiągnąć mniej rażącymi środkami. Ubocznym, niekorzystnym skutkiem tego zabiegu stało się to, że również i jedyny piękny epizod życia Leona, miłość jaką wzbudza on w sympatycznej Jance Melaniuk trochę nas zaskakuje. Braun tylko zapewnia nas o męskim uroku bohatera, ale za mało pokazuje na czym on polegał i wskutek tego uczucie Janki jest dla nas pewnym zgrzytem, przyjmujemy je nie jako rzecz w końcu bardzo życiową i naturalną (ileż to wartościowych dziewcząt głupio się zakochuje), ale od razu nieufnie i z pewnym niesmakiem: za dobrze pamiętamy poprzednie „wyczyny" Leona i trudno nam się przestawić.

Markowski i Leon dzięki szczegółowości charakterystyki wysuwają się na czoło postaci pokazanych przez Brauna. Nie przesłaniają jednak innych bohaterów. Wspomnieliśmy już o Kaczorze, Śliwce, Jance Melaniuk i obu sekretarzach organizacji partyjnej. Dochodzą do tego sylwetki robotników-stoczniowców, którzy początkowo przeciwstawiają się nowatorskim metodom Markowskiego, jak Ornoch, Paliwoda, gdańszczanin Klamrau i Krym, dochodzi kilku przedstawicieli młodzieży robotniczej jak Sandler, Warkusz, Mydlarz, młody Paliwoda i demoniczny przywódca młodych chuliganów „Rudy".

Jeśli chodzi o postaci starych robotników — są one ciekawie zróżnicowane. Na przykładach Ornocha i Paliwody rysuje nam Braun skomplikowaną motywację nieufności starych, partyjnych robotników do nowych metod produkcji: u Ornocha odgrywają tu szczególnie silną rolę względy osobiste, niechęć do Leona, który uwiódł mu córkę, ponadto, zarówno u niego jak i u Paliwody, występuje jako moment zasadniczy niechęć ustatkowanych, pracowitych robotników, dotychczas przodujących w produkcji, do jednostek, które zgrzeszyły bumelanctwem i niewątpliwie nagannym trybem życia. Inna nieco postawę reprezentuje bezpartyjny robotnik Krym, na przykładzie którego Braun pokazuje oddziaływanie na środowisko robotnicze wrogiej, kołtuńsko-klerykalnej propagandy, której narzędziem jest w danym wypadku żona Kryma.

W trafny i ciekawy sposób pokazuje tu Braun jak konflikty w założeniu swoim nieantagonistyczne stają się wodą na młyn wroga klasowego i wiążą się z konfliktami walki klasowej. W sposób interesujący pokazana też została doniosła rola organizacji partyjnej i ZMP-owskiej, jej oddziaływanie na bezpartyjnych, wyraźnie zaakcentowane w paru epizodach, np. w scenie, kiedy Krym ratuje Leona chcącego popełnić samobójstwo, lub w scenie kiedy na publicznym zebraniu dochodzi do jawnej krytyki działalności ministerstwa. Z drugiej strony widać, jak brak aktywności ze strony organizacji oddziaływa ujemnie na nastroje partyjnych i bezpartyjnych.

Z historii Markowskiego i Leona wydobywa też Braun ważny i tak żywo zaakcentowany przez radziecką literaturę problem postawy ludzi, którzy wyrośli w latach walki rewolucyjnej, a nie umieli— początkowo czy też w ogóle — przestawić się na nowy rodzaj aktywności w okresie budownictwa socjalistycznego. Wydobywa żywy konflikt charakterów burzliwych, zmuszonych do łamania się ze sobą — w nowych warunkach, wymagających od nich nowej postawy, często nowych kwalifikacji.

Bardzo dobitnie pokazane to zostało na przykładzie starego Kaczora, który żyje pracą na stoczni, snuje ambitne projekty usprawnień racjonalizatorskich, ale nie przychodzi mu to łatwo. Rozumie, że potrzebna jest do tego głęboka wiedza techniczna, uczy się nocami, ponosi przy tym zrozumiałe porażki, ale nie zniechęca się, gotów zdobywać wiedzę mimo podeszłego wieku, świadomy, że nic w życiu nie przychodzi z łatwością.

Socjalistyczne konflikty wyrosłe na tle stosunków pracy zostają u Brauna ciekawie podbudowane socjologicznie i psychologicznie. Można by spytać: ciekawie, ale czy zawsze słusznie?

Refleksje takie nasuwają się przy historii Markowskiego. Uderza w niej widoczna sympatia autora dla jednostki nieustatkowanej, miotanej namiętnościami, wyraźnie przeciwstawianej ludziom, którzy do socjalizmu doszli bez wewnętrznego łamania się, na zasadzie jakiejś zwykłej życiowej kolei czy nawet kalkulacji. Jest to słuszne, ale pokazane czasem w sposób nie dość umotywowany.

Po przeczytaniu książki wytwarza się ogólne wrażenie, że Braun w sposób stosunkowo łatwy usprawiedliwia pewne grzechy życiowej nierównowagi, jak pijaństwo czy brutalność Markowskiego wobec żony, a zbyt skwapliwie potępia jako „mieszczańskie" grzechy ludzi typu Paliwody. To samo dotyczy żony Markowskiego, której postać nie jest dość plastyczna. Jedyna żywa scena, w której nam ją pokazano, kiedy Markowski wraca w sztok pijany nad ranem do domu, kieruje sympatię czytelnika bynajmniej nie do niego. Nie mamy do Markowskiej wcale pretensji kiedy go beszta. Nieszczęśliwa kobieta. Ma rację.

Oczywiście można powiedzieć, że z drugiej strony Braun odciął się zdecydowanie od posądzeń, iż pochwala „złe prowadzenie się" bohaterów, ponieważ wyraźnie napiętnował Leona. Markowski grzeszy bo jest nieszczęśliwy, Leon grzeszy bo lubi. Pięknie, ale to wszystko jest trochę nieumotywowane. Dlaczego w końcu Markowski jest nieszczęśliwy? Braun nas zapewnia, że Markowska jest bardzo głupia i że nie chce pracować, ale za mało trochę to pokazuje w powieści. Mielibyśmy ochotę posłuchać co na przykład ona myśli o swoim życiu i o swoim mężu, zobaczyć rzecz od jej strony. I może dopiero wtedy przyznalibyśmy Braunowi rację.

Sprawy te wydają się z pozoru drobne, ale właśnie zasługą i osiągnięciem Brauna jest fakt, że wszystkie one łączą się z naczelnym konfliktem powieści. Mamy ochotę dyskutować o jej bohaterach, wykłócać się o nich, poznawać ich życie od różnych stron, nie tylko tych, które ujawnił nam autor. Książka jest żywa, książka jest bogata.

W powieści Brauna sprawa walki o nowe metody produkcji nie jest abstrakcją, lecz sprawą ludzką, sprawą głęboko moralną. Czy słusznie jednak pokazał nam autor, że główne zwycięstwo moralne odnosi tu akurat człowiek, który nie umiał go odnieść w życiu osobistym? Czy pogłębia to naszą dla niego sympatię, czy obniża? Otóż wydaje mi się, że pogłębiałoby, gdyby ów problem osobisty w życiu Markowskiego pokazany był wnikliwiej, a nie tylko naszkicowany. Gdyby naprawdę zarysowany był konflikt, niekoniecznie tylko psychologiczny, przeciwnie, konflikt ideowy między Markowskimi, gdyby ten konflikt Markowski próbował jakoś rozwiązać, mniejsza o to — ze skutkiem czy bez, miałby on prawo powiedzieć tak, jak mówi na str. 451 książki, że odniósł zwycięstwo w sprawie ogólnej „za cenę" szczęścia osobistego.

Tak wygląda w książce Brauna problem bohatera pozytywnego, niewykończony, niedopięty na ostatni guzik, ale zarysowany ciekawie i ambitnie. Nie rozwiązuje go oczywiście w pełni szereg wspomnianych wyżej i na ogół dobrze zarysowanych postaci epizodycznych. Rozwiązany jest on jednak niewątpliwie w innej, szerszej płaszczyźnie: w płaszczyźnie klimatu całej książki, w której na zbiorowego bohatera wyrasta zwycięski kolektyw robotniczy. Mało mamy jeszcze powieści, w których autorowi udałoby się tak doskonale uchwycić atmosferę pracy, wysiłku, ambicji jednostkowej i zbiorowej, w której by sceny pracy — mimo iż czasem przeciążone balastem opisów technicznych (przydałby się słowniczek!) — były równie silnie spojone z przebiegiem akcji, równie angażowały uwagę czytelnika. Gotowi jesteśmy darować za to Braunowi wszystkie „staple", „wregi" i „heftowania", bo nie one przecież są ważne, bo brniemy przez nie chętnie, ponieważ widzimy całość, mamy przed oczyma pełny obraz życia stoczni i jej ludzi.

Nie sposób wyszczególnić tu wszystkich scen na stoczni i poza nią, które zostały zarysowane przez Brauna z dużą plastyką i złożyły się na całość tego obrazu. Wymienię tylko doskonałe opisy pracy na str. 113 lub 224—225, dobrze podchwycony opis dojazdów robotniczych z pracy i do pracy na str. 70-71. A jak świetnie, żywo i nieschematycznie wypadła u Brauna owa „zmora" naszych powieści produkcyjnych — zebrania! Proszę przeczytać opis zebrania Organizacji Partyjnej na str. 373 i następnych! Rzecz polega na tym, że Braun nie zaczyna od zebrania, ale na nim kończy, że sprawa, która się tam rozstrzyga, jest podbudowana całą akcją powieści, a każdy głos, który tam pada, posuwa tę akcję naprzód, jest jakimś przyczynkiem do przemian, które dokonywają się w bohaterach.

Inną scenę należącą w naszych powieściach produkcyjnych do żelaznego repertuaru spraw, które „trzeba pokazać", wyjazd ekipy robotniczej na wieś, potrafił Braun również wmontować w akcję: ma ona decydujące znaczenie dla wątku dotyczącego Leona.

Pełne życia są różne opisy sytuacyjne np. scena, kiedy Markowski jedzie z fabryki na rowerze, który dostał w nagrodę, lub emocjonujący opis ucieczki inżyniera Wesołowskiego. Doskonałe są niektóre charakterystyki, np. dobrze podpatrzona chęć zbędna może w ogólnym układzie kompozycyjnym sylwetka sekretarki dyrektora, Tosi Małachowskiej. Większość dialogów ma charakter żywy i naturalny. Zwraca uwagę rzecz nader rzadka w naszych powieściach: trafny i życiowy sposób pokazania argumentacji wroga, który nie woła — jak to się niekiedy zdarza niektórym pisarzom — „patrzcie no, patrzcie, jakim jestem łajdakiem", ale zaryscowany jest z całym realizmem np. w świetnej scenie rozmowy inżyniera Wesołowskiego w samochodzie z cudzoziemskim dyplomatą (str. 234 — 235), lub rozmowy otumanionych reakcyjną propagandą robotników Kryma i Mydlarza (str. 110).

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Braun w powieści swojej — niezależnie od wszelkich w niej usterek czy błędów — wykazał iż ma prawdziwy nerw powieściopisarza, i to jest ważne.

Oczywiście nie wszystkie sceny i nie wszystkie postaci wypadły równie przekonywająco. Słabsze jest na ogół środowisko młodzieży robotniczej, a problem kolektywu młodzieżowego i w punkcie wyjściowym pokazany jest prymitywnie, i rozwiązany stanowczo za łatwo. Mało prawdopodobna wydaje się przejaskrawiona, demoniczna postać „Rudego" i jego wpływu na młodzież, a tym bardziej zbyt nagłe zwycięstwo odniesione przez Warkusza i jego towarzyszy nad bandą zdemoralizowanych wyrostków.

Wyraźnie szkicowy i przez to — mimo dużej obrazowości — często mało przekonywający i nie zawsze konsekwentny jest obraz środowiska inteligencko - inżynierskiego. Czemu ma służyć no, bardzo jaskrawa kompromitacja postaci inż. Wisłowskiego, którego Braun maluje jako skończonego cynika w życiu osobistym, skoro później okazuje się on — w przeciwstawieniu do Wesołowskiego — człowiekiem uczciwym w sprawach zasadniczych? Jaki sens ma ta nierozwinięta, ale przejaskrawiona antynomia?

Nie bardzo udała się też Braunowi większość postaci kobiecych. Wyjątek stanowi tu może jedynie Janka Melaniuk, która, zwłaszcza w końcowych scenach powieści, w scenie zerwania z Leonem, na zebraniu partyjnym, w czasie katastrofy suwnicy i później, w rozmowach z Kaczorem, jest zdecydowanie wzruszająca. Mniej trafia nam ona do przekonania w momencie kiedy ją poznajemy: autor chciał pokazać słusznie, że robotnica w powieści nie musi być pozbawiona powabu, ale trochę wystylizował ją na postać z mieszczańskiego romansu, zwłaszcza opisując sztampowo jej walory fizyczne. Można to wytłumaczyć tym, że oglądamy ją oczyma uwodziciela Leona, ale wizerunek bohaterki na tym traci, jest nieco banalny i powierzchowny.

Gorzej jest z innymi postaciami kobiecymi. Po pierwsze — prócz epizodycznej postaci sekretarki, tow. Mokrego — Sabinki i młodszej Ornochówny — wszystkie są negatywne. Po drugie — żadna nie reprezentuje jakiejś bardziej zdecydowanej postawy indywidualnej, wszystkie prawie widziane są jakoś bardzo niekorzystnie i wyłącznie przez pryzmat ich stosunku do mężczyzny. Jest to, w sumie biorąc, jak na powieść z lat budowy socjalizmu, w kraju, gdzie kobiety mają doprawdy wyjątkowo piękną kartę w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne — i to wcale nie tylko w środowisku inteligenckim! — nieco krzywdzące. Janka Melaniuk i Sabinka jako przeciwstawienie — nie wystarczą. Nie zdziwię się, jeżeli Liga Kobiet wystąpi z gorącym protestem.

Weźmy po kolei: obie Ornochówny kompromituje w gruncie rzeczy ich stosunek do Leona. Tosia Małachowska—cóż z tego, że kapitalna—honoru kobiet nie ratuje na pewno. Markowska—w założeniu negatywna. Inne — bez wyrazu. Rekord bije nieszczęsna Kasia Wisłowska, bezwstydnie potulna, wysyłana przez męża, romansującego z inną, po papierosy. Zdaję sobie sprawę, że moment ten nie ma najbardziej zasadniczego znaczenia dla ogólnego toku powieści, ale ma on znaczenie w naszej rzeczywistości, ma je dla sprawy rozwoju socjalizmu i dlatego usterki tej nie da się pominąć milczeniem.

(Dokończenie na str. 7-ej)

*) Andrzej Braun „Lewanty", powieść, wyd. „Czytelnik", W-wa 1952, str. 466.

ANDRZEJ BRAUN

DZIERŻYŃSKI

Kiedy serce tłukło jak ćma,
wzrok znużony nie widział celu,
On mi wzmacniał głos: obywatelu,
głosuj za. —

Sam bywałem. A wokoło wrogość.
Noc. Znużenie jak trucizny smak.
Zatnij zęby, mów: trzy razy tak. —
Choćby wlec się, lecz naszą drogą.

Gdy zmęczenie szeptało: spocznij,
to bez sensu, jałowy trud...
On człowiekiem był jak ja. On zgniótł
to, co kochać przeszkadzało mocniej.

Nie pozbieram, nie utrwalę godzin,
kiedym głowę wypalił jak płomień,
kiedy w sercu ciągły bunt się rodził,
że życie na tym strwonię.

Gdy znużony bywałem, chory,
chciałem ręką na wszystko machnąć,
a tu żmudne noce — wybory
z formularzem — plakatu płachtą.

Kiedy wreszcie po wielu nocach
gardło chrypło od agitacji,
kiedy nogi ciągnąłem z błota
wlokąc się od stacji do stacji...

Kiedy myśli zbierałem z trudem
wysuszone jak piach Sahary,
gdy gorączki płomienie rude
dały odczuć: zmęczonyś, stary...

Wtedy Jego wzrok z wiecznym ogniem,
serca praca ponad śmierć mocna...
Pomógł. Znowu ja mówić mogłem,
wiersz mój znów był jak dłoń pomocna.

Tak On ciągle w oczy spogląda...
Dzięki, Partio, za taki wzorzec.
Wyrastamy, gdy od nas żądasz,
więcej niż człowiek może.

SERGIUSZ ANTONOW

W CICHEJ

Wieczorem do Wasylisy Michajłowny wstąpił na pogawędkę Nikodem Pawłowicz, niziutki człowiek w gabardinowej wiatrówce, o nierówno podstrzyżonych wąsach i białej, pulchnej twarzy. Wasylisa Michajłowna domyślała się, że przychodzi on z powodu jej wnuczki Ludy, ma zamiar oświadczyć się jej. Na to, aby zalecać się do dziewczyny wobec wszystkich, Nikodem nie jest dość młody; przychodzi więc do domu, powolutku przyzwyczaja Ludę do siebie. Wtrąca się też do gospodarstwa. Gdy Luda nakrywa do stołu, mówi surowo: „A obrusa można by nie kłaść: splamisz konfiturami — obrus się zniszczy". Na to Luda odpowiada, że dla takiego gościa nie szkoda żadnego obrusa, a w głosie jej słychać wyraźnie drwinę.

Nikodem Pawłowicz jest, jak sam o sobie mówi — „delegowany". Pracuje w mieście rejonowym, w jakiejś instytucji zaopatrzeniowej, do stanicy przyjechał służbowo i mieszka już od miesiąca z górą u ogrodnika Pietriszczewa. Pracę swoją traktuje pogardliwie i wspomina, jak to on dawniej pracował gdzieś pod Jarosławlem, gdzie tresowano psy owczarskie; praca zaś jego polegała na tym, że — ubrany w kombinezon z mocnej gumy, i w siatce na głowie — uciekał przed psami. Te doganiały go, zwalały na ziemię, gryzły kombinezon...

Przychodząc w odwiedziny, przynosi czasem jakiś podarunek.

Tym razem przyniósł raki.

— Na wrzątek to bractwo — powiedział, kładąc na stole ruchome zawiniątko. — O tej porze mają najlepszy smak...

— Sami nałowiliście? — spytała Wasylisa Michajłowna.

— Jak wam wiadomo, jestem myśliwym.

— Czy tylko na raki polujecie?— spytała Luda, mrużąc oczy. Ale pan Nikodem zwykł pomijać milczeniem takie pytania i mówił dalej, zwracając się do Wasylisy Michajłowny:

— Rak wtedy jest najsmaczniejszy, kiedy złowiono go w marcu albo w kwietniu, albo — jak teraz — we wrześniu. Każdej zwierzynie wyznaczony jest swój czas, kiedy najlepiej smakuje człowiekowi. Na ten przykład rybka najlepsza jest marcowa. W marcu ma grzbiet o, taki — i pokazał dwa białe, razem złożone palce.

Przemawiał pan Nikodem zwykle tonem pouczającym i nie lubił słuchać nikogo. A gdy musiał czegoś jednak wysłuchiwać, uśmiechał się smutno i pobłażliwie, jak gdyby z góry już wiedział wszystko, co zostanie powiedziane, a nawet coś ponadto, czego nikt nie rozumie i zresztą zrozumieć nigdy nie potrafi. I Wasylisa Michajłowna uważała go za mądrego człowieka.

Siedli do kolacji. Wasylisa Michajłowna napełniła talerze barszczem, przygotowanym na jutro.

Pan Nikodem zjadł troszkę i powiedział:

— Czerwonych buraków kłaść do barszczu nie należy. Trzeba kłaść takie buraki — zrobił ruch palcami — czerwone w białe prążki, jak mora... a od czerwonych buraków barszcz śmierdzi burakami.

Po czym w milczeniu dojadł barszcz.

— Mówią, że na wiosnę morze do nas dojdzie? — spytała babka Wasylisa. — Kończą już usypywać tamę koło Kumszackiej Góry.

— Morze, oczywiście, będzie — powiedział pan Nikodem, z chrzęstem rozłamując skorupę raka — tylko do którego miejsca się rozleje — to jeszcze pytanie. Planują, na ten przykład, żeby doszło do waszej chaty i zatrzymało się, a ono się nie zatrzyma. Woda — to żywioł.

— U nich wszystko jest obliczone, co też wy!... — odparła babka trochę wystraszona.

— Obliczenie to rzecz niepewna. Wystarczy opuścić w obliczeniu jedno maleńkie zerko — i woda zaleje waszą chatę, tylko szpacze gniazdo będzie wyglądało. Teraz wy, na ten przykład, jecie raki, a wtedy raki was będą jadły... A zresztą, czy zaleje, czy nie zaleje — to wszystko jedno. Z nauki wiadomo, że ziemia upadnie na słońce i wszystko co na niej jest spali się do wszystkich diabłów. Wiecie wy, co to jest słońce?

— Nie! — odrzekła ze strachem babka. — A bo co?

— Słońce — to roztopione żelazo. Co z was zostanie, jeżeli was, na ten przykład, wrzucić do roztopionego żelaza?

— No, ale kiedy to tam będzie...

— Wszystko jedno. Co tu zresztą gadać o słońcu — bomba atomowa, i ta spala tak, że na ziemi zostanie po was tylko plamka, sama wasza postać w formie cienia...

Wasylisa Michajłowna z przerażeniem popatrzyła na swój cień:

— Przecież nasi nie dadzą zrzucić takiej bomby.

— A oni, myślicie, będą się pytać? O, właśnie wczoraj w gazetach było wydrukowane memorandum.

— Co? — z jeszcze większym przerażeniem spytała babka.

— Memorandum... — powtórzył tajemniczo pan Nikodem i, ocierając ręce chusteczką, w której przyniesione były raki, wstał od stołu. — No, na mnie czas. Deszczyk, zdaje się, pada?

Wszyscy troje posłuchali w milczeniu, patrząc w ciemne okna. Po dachu bębnił deszcz.

Pan Nikodem nałożył czapkę, pożegnał się, i przeświadczony o tym, że po dzisiejszym wieczorze Luda jeszcze bardziej będzie podziwiać jego uczoność, wyszedł do sieni.

Narzuciwszy puchowy szal, Wasylisa Michajłowna odprowadziła go na ganek, ostrzegła, by pochylił głowę, gdyż na podwórzu rozciągnięte są sznury do suszenia bielizny, i zatrzymała się u progu, wsłuchana w jego ostrożne, oddalające się kroki. Wieczór był ciemny. Cichy i smutny był szmer deszczu. W oddali zatrzasnęły się drzwi, kroki umilkły. „Kis-kis-kis!" — zawołała Wasylisa Michajłowna, otulając się szalem, i wydawało się jej, że z kotką stało się coś złego i że ktoś obcy stoi za płotem. Wreszcie zamknęła drzwi na haczyk i zasuwkę i poszła spać.

— Chociaż i uczony z niego człowiek, ale aż niedobrze się robi od tej jego rozmowy! — powiedziała gniewnie do wnuczki. — Żeby to już prędzej doszło u was do porozumienia!

— Czy ty naprawdę ciągle jeszcze myślisz, że ja pójdę za niego? — odparła Luda. — Oj ty, babciu, babciu! Nie martw się o mnie. Ja już jestem duża — dodała z czułością.

Dobra jest jednak wnuczka Wasylisy Michajłowny, choć lubi sobie żarty stroić przy ludziach. Ale to nie ze złości, tylko wtedy, gdy jest zawstydzona lub zmieszana.

Wasylisa Michajłowna położyła się z niepokojem w sercu. Dawniej w stanicy było spokojniej, ciszej. Do najbliższej stacji trzeba było iść 100 km. W zeszłym roku doprowadzono linię kolejową do samego Donu, nazjeżdżało się różnych ludzi, chodzą z rurkami, mierzą, wielu przesiedlono na nowe miejsca. Mówiono wprawdzie babce Wasylisie, że jej chatę zostawią na miejscu, ale kto ich tam wie! A tu jeszcze przyplątał się ten „delegowany" ze swoimi strasznymi historiami... Babka usnęła i śniło jej się, że całe podwórze zalane jest wodą, w żaden sposób nie można przejść do obory, a na gnieździe szpaka siedzi pan Nikodem i pyta, co to jest słońce.

W nocy zastukano. Babka usiadła na łóżku i przeżegnała się.

Ukradkiem, jak gdyby nie chcąc zbudzić śpiących, szemrał deszcz w liściach akacyj, ten sam deszcz, który rozpadał się jeszcze wczoraj wieczorem. Szmer deszczu w gałęziach przypominał czyjś szybki, niespokojny szept i wydawało się, że w zagrodzie ktoś ciągle chodzi na palcach. Ciemność panowała taka, że w pokoju nie widać było okien.

Znów zastukano. W sieni spadła uzda.

— Babciu, stukają! — powiedziała Luda, budząc się.

Słychać było jak wiatr porusza cienką strużką wody płynącą ze ścieku do beczki i dźwięk tej strużki zmieniał się wciąż, jak gdyby ją strojono. Gdzieś daleko, przy tamie, rozległ się przeraźliwy sygnał lokomotywy motorowej.

— W pozaprzeszłym roku do sąsiadów też tak samo, w nocy, wprosili się z budowy na nocleg, a rano ukradli szubę — powiedziała babka. — A może to dyżurna z obory?... Nie wiem, naprawdę, odzywać się czy nie...

— Oczywiście, trzeba spytać kto tam... — sennie mruknęła Luda, wsuwając się głębiej pod kołdrę. — Deszcz przecież... mokro tam..

— A szopa zamknięta?

Luda nie odezwała się: pewnie zasnęła.

Nie zapalając światła Wasylisa Michajłowna narzuciła na siebie palto, uchyliła drzwi do sieni i spytała z odległości:

— Kto tam?

— Ja — odezwał się męski głos. — Ale sen to macie mocny, mamusiu...

Głos był zziębnięty, ochrypły, i Wasylisa Michajłowna nie mogła się zorientować, czy na ganku stoi stary czy też młody człowiek.

— A kto wy jesteście? — spytała znowu.

— Hydromechanik.

— Kto?

— Stolarow. Starszy kierownik robót.

„Pewnie też z budowy — pomyślała babka. — Nie będę otwierać, żeby nawet nie wiem co!"

— A dokumenty macie? — spytała zaciskając usta i surowo patrząc w ciemność.

— Dokumentów mam pełną torbę. Do rana nie zdążycie przejrzeć wszystkich.

„Patrzcie go, już wyciera nogi!" — babka przerażona nadstawiła ucha. — „Zupełnie jakby przyszedł do swojego domu..."

Rzeczywiście, nieznajomy człowiek szurał ciężkimi buciskami po deskach ganku tak że w sieni ruszała się podłoga.

— Nie fatygujcie się — powiedział, jak gdyby zapraszano go do stołu. — Ani herbatki, ani nic takiego nie trzeba...

— My i drzewa nawet nie mamy, ojczulku. Gdzie tu herbatka!... Zimno.

— To nieważne... O szóstej rano muszę iść...

— Skąd je tu wziąć, to drzewo — ciągnęła babka Wasylisa. — Patrzcie, tylko tyle nam przywieźli na całą zimę...

I czy to dlatego, że zagadała się, czy że głos człowieka brzmiał zwyczajnie, jak w dzień, Wasylisa Michajłowna zapomniawszy się, odsunęła zasuwkę i opamiętała się dopiero wtedy, gdy ktoś mokry i zimny, drapiąc ścianę połą płaszcza, wszedł do sieni.

Szybko odnalazła wyłącznik i zapaliła światło.

W sieni stał chłopak dwudziestotrzyletni, wysoki i barczysty. Głowę okrywała mu maleńka spłowiała czapeczka z guzikiem i pogiętym kartonowym daszkiem. W jego opalonych policzkach, do połysku wysmaganych stepowym wiatrem, odbijało się światło żarówki.

— A nas jest dwoje — powiedział i wyciągnął zza pazuchy czarnego pieska. — Znalazłem go na drodze. Pewnie ktoś wyrzucił.

Chłopak otarł krople deszczu z twardych warg i uśmiechnął się, pokazując białe zęby.

— Nawet nie mam gdzie cię położyć, synku — powiedziała Wasylisa Michajłowna, wyzbywając się lęku, pełna macierzyńskiego współczucia dla niego, zziębniętego i mokrego.

— A my się tu położymy — powiedział chłopak, zdjął skrzypiący płaszcz, od razu znalazł miejsce gdzie go rozwiesić, i podstawił pod ień wiadro, aby nie naciekło na podłogę.

„Jakby mieszkał tu od roku!" — pomyślała babka.

— Mieszkanie mam w Sokołówce — wytłumaczył, szybko i zręcznie rozścielając w rogu watowaną kurtkę. — A teraz tam, pod górę, samochody nie chodzą: błoto.

Pomyślał chwilę, zdjął marynarkę i złożywszy ją jak poduszkę, położył przy ścianie.

— Wybraliśmy się z Aleksandrem Jegorowiczem na piechotę do Sokołówki, a nogi ślizgają się w drugą stronę. Ciemno, że ziemi nie widać. Co tam ziemia! Aleksander Jegorowicz zginął mi w ciemności. Teraz pewnie też gdzieś puka do drzwi...

— Poczekaj no, nie kładź się, ja zaraz... — powiedziała babka Wasylisa, poszła do pokoju i obudziła Ludę.

— Mechanik jakiś przyszedł... Młody! — zaszeptała. — Ja mu pościelę tu na kanapie, a my prześpimy się razem. I tak tylko cztery godziny do świtu zostało.

Gniewna, że zbudzono ją ze snu, Luda narzuciła sukienkę i poszła do sypialni po czyste prześcieradła i powłoczkę, a Wasylisa Michajłowna zawołała nocnego gościa, prosząc go, aby buty zostawił w sieni. Wszedł, rozejrzał się. Ze zmęczenia zapewne twarz jego miała kapryśny wyraz. Na koszuli widniały ciemne wilgotne plamy: woda przedostała się przez płaszcz, kurtkę i marynarkę.

— Spójrz tylko, zmokłeś do suchej nitki! — powiedziała babka Wasylisa.

— Nic nie szkodzi. My co dzień mamy do czynienia z wodą. Tamę stawiamy. Budujemy elektrownię na Donie.

— Elektrownia będzie nie na Donie, ale na brzegu. Ja widziałam.

— A my go przysuniemy do niej.

— Kogo?

— A Don... — powiedział młody człowiek.

„Zupełnie jakby miał zamiar ławkę przesuwać!" — pomyślała Wasylisa Michajłowna, patrząc na jego duże, ciężkie ręce.

— Jak się nazywasz, powiedz? — spytała.

— Włodzimierz.

Z sypialni wyszła Luda, zaczęła prześcielać.

I babka Wasylisa zauważyła, że Włodzimierz, z wyrazem udanej obojętności na twarzy, zerka ukradkiem na wnuczkę.

— Wyuczę się na nauczycielkę— kupię sobie łóżko z kulkami — powiedziała Luda.

— Za daleko myślisz naprzód.

— To dobrze, że myśli naprzód — powiedział Włodzimierz — tak tylko żyć z dnia na dzień to nudno.

— A ja nie myślę naprzód — obraziła się z lekka babka Wasylisa — i żyję sobie, pracuję na fermie. I ludzie się nie skarżą.

— Możesz sobie myśleć albo nie myśleć — dodała Luda z uśmieszkiem — wszystko jedno, jak mówi Nikodem Pawłowicz, ziemia upadnie na słońce.

— Nic nie szkodzi — powiedział Włodzimierz. — Przyjdzie czas, zlikwidujemy i to niebezpieczeństwo.

„To dopiero, niczym się nie przejmuje! — babka Wasylisa zaczynała się gniewać. — Nawet ziemię skierują ci gdzie zechcesz!"

Udano się na spoczynek. Nasłuchując jak gość kręci się, układa na kanapie, babka Wasylisa myślała o tym, że był czas, gdy i ona wybiegała myślą daleko naprzód, a z marzeń i tak nic nie wyszło. W rodzinie było ich sześcioro, same dziewczyny. Kiedy ojca zabili pod Cuszimą, matka zaczęła wydawać córki za mąż bez wyboru, aby tylko ktoś wziął. Wasylisie dostał się przejezdny leśniczy. Wyszła za niego i umyśliła sobie urządzić gospodarstwo, ale nie przeżyli razem roku — męża zabrano na wojnę do Galicji; wrócił w szesnastym roku chory: płuca spaliło mu gazami; wszystko, czego się dorobili, poszło na leczenie, a pożytku nie było: pokaszlał, pokaszlał i umarł. I została sama z maleńkim synkiem, w najtrudniejszych głodnych latach. Ale i wtedy umyśliła sobie kształcić go, wykierować na człowieka. Namęczyła się, zakosztowała wszystkiego, ale swego dopięła. Syn wykształcił się i ożenił z wykształconą, zaczął pracować w Leningradzie, zaczął przysyłać pieniądze, po sto dwadzieścia rubli na miesiąc. Wszystko niby ułożyło się dobrze, a tu znów wojna... Leningrad otoczyli faszyści. I zginęli oboje: i syn, i jego żona. Trzeba było wnuczkę wziąć do siebie. Wszystkie wojny pamiętała babka Wasylisa nie według lat, ale według bliskich: japońska wojna — to kiedy zabili ojca; imperialistyczna — kiedy umarł mąż; narodowa — kiedy zginął syn z żoną. I gdy zbrakło ukochanego synka, Wasylisa Michajłowna machnęła na wszystko ręką, przestała wybiegać myślą naprzód, gospodarstwo prowadziła byle jak (nawet dziury w płocie nie chce się załatać), i podłogi byle jak nacierała pastą, i Ludę wychowywała byle jak, ot i rośnie śmiesznica... „Rano opowiem mu to dla przestrogi — myślała zasypiając — żeby zrozumiał, że dobrze tak marzyć, dopóki młodość... A jak życie zacznie cię obracać z boku na bok, wtedy zrozumiesz, co warte są twoje marzenia..."

Zbudziła się babka. Wasylisa wcześnie, ale gościa już nie było. I tylko mokry jego płaszcz jak przedtem wisiał w sieni. Płaszcz był ciężki, uszyty z takiego samego grubego brezentu, z jakiego robi się wiadra do pojenia koni. Wasylisa Michajłowna pokiwała głową i rozwiesiła płaszcz na płocie do suszenia. Spoza chmurki wyglądało słońce. Zaczynała się ładna pogoda.

Po dwóch dniach znowu przyszedł pan Nikodem. Babka Wasylisa zdążyła już doskonale poznać jego charakter i widząc, że nic nie przyniósł, wywnioskowała, że gość jest nie w humorze. Teraz zacznie pić herbatę i wywlekać takie strachy, że sam potem będzie się oglądał na ulicy!

Pan Nikodem powiesił czapkę na rogu lustra, zgarnął włosy na bok, aby nie widać było łysiny i, rozejrzawszy się, zauważył płaszcz. Babka Wasylisa musiała opowiedzieć o nocnych odwiedzinach.

Wysłuchawszy, pan Nikodem zagadkowo pokręcił głową, pomyślał i zaczął przymierzać płaszcz. Widząc jak zaciąga pasek, Luda parsknęła i wybiegła do kuchni.

Przy herbacie pan Nikodem wbrew zwyczajowi milczał i tylko chwilami wzdychał i tajemniczo kiwał głową. Wypił szklankę herbaty, podniósł palec i powiedział:

— A płaszcz nie na próżno zostawiono! — i poprosił jeszcze o herbatę.

Przeczuwając coś niedobrego, babka Wasylisa patrzyła, jak odpija herbatę i po każdym łyku sprawdza, ile zostało w szklance. Wreszcie pan Nikodem napił się, otarł wąsy i powiedział:

— A wy nie zastanawiacie się, Wasyliso Michajłowno, dlaczego on zostawił płaszcz?

— Nie — odparła szybko. — Bo co?

Ale on nie od razu wyjaśniał to, o co pytano, lecz zmieniał temat rozmowy, aby słuchacze mieli czas połamać sobie głowę i przekonać się, że do tego, co osiągnął swoim rozumem pan Nikodem, oni nigdy nie dojdą. I dlatego spytał po chwili milczenia:

— A gdzie on tu spał, ten nocny ptaszek?

— Na kanapie.

— Nie trzeba było kłaść go na kanapie. Obicie się zetrze... sprężyny się pogną...

— Ależ on nie jest gruby — zauważyła Luda, mrużąc oczy. — Gdyby was tam położyć, wtedy naprawdę połamałyby się sprężyny...

— A płaszcz zostawiono nie przez zapomnienie, a umyślnie — ciągnął pan Nikodem, przepuszczając jej słowa mimo uszu, według zwyczaju. — Wypatrzył gdzie co leży i poszedł. A teraz zjawi się w nocy, powie: „Przyszedłem po swoją odzież" — i będziecie musieli mu otworzyć. A z nim będzie może jeszcze dwóch albo trzech...

— Co też wy mówicie? — zżymała się babka Wasylisa.

— Mieszkacie na skraju — krzyku waszego nikt nie usłyszy...

Wasylisa Michajłowna spojrzała w okna. Wieczór był widny i czarne cienie, jak narysowane leżały na drodze. Księżyc świecił jasno i na podwórzu można by chyba czytać gazetę. Na ulicy rozległy się kroki. Zapukano do drzwi.

MARCELINA GRABOWSKA

ZWYCZAJNIE, PO PROSTU

Podmiejski pociąg spokojnie wystukiwał takt, jakby mu wcale nie było śpieszno do celu. Podróżni, którzy się do niego przesiedli z dalekobieżnego, mając za sobą całonocną podróż — pomęczeni — milczeli. Nawet dzieci ucichły i skupiły się na ławkach. Chłopcy wpatrywali się niewidzącymi oczyma w szary poranek za oknem. Najmłodszy spał na kolanach matki.

Dla tej — zdawało się — niczym była nieprzespana noc. Siedziała sztywno wyprostowana i oczy sprawowały czujną straż nad całą gromadką. Od czasu do czasu zwracała je na męża: „Co on tak pilnie rozważa?"

Ta rodzina zainteresowała mnie, kiedy wsiadłam w Warszawie do szczecińskiego pociągu. Z tego, co opowiadała ciekawym, dowiedziałam się, że ojciec jest hutnikiem, przodownikiem pracy; w nagrodę za wysokie normy dostał przydział dla niemałej rodziny i teraz jadą wszyscy do Pobierowa na dwutygodniowe wczasy.

Odpowiadali krótko, sucho, z widocznym przymusem. Musieli jechać z daleka, gdzieś z południa Polski, może byli już zmęczeni. Dano im spokój.

Podczas przesiadania podziwiałam karność gromadki, liczącej aż dziesięcioro rodzeństwa. Dziwiłam się też, że matce udało się zachować młodość, mimo że najstarszemu synowi szczęka porastała już twardym włosem.

Nachyliła się właśnie nad najmłodszym, który wtulił główkę w zagłębienie jej ramienia. Zbliżyła policzek do ust dziecka, a potem spojrzała tak jakoś z dołu na męża, jakby chciała go o coś zapytać, na co nie starczyło jej odwagi. Wyprostowała się, nie zapytała.

Rytm kół uległ zmąceniu, zaświstały na żelazie hamulce. Kobieta poruszyła się niespokojnie, ale mąż uśmiechnął się do niej: — Jeszcze czas.

Westchnęła, odchyliła głowę na oparcie. Ojciec nie wrócił do swoich rozmyślań. Zauważył oczy syna. Patrzyły drwiąco.

Domyślam się, że między tymi dwoma toczy się jakiś bezgłośny spór, który sprawił, że brwi hutnika zdają się nachodzić na siebie, że jego żona niespokojnie zwraca się w tę stronę.

...Wyjrzał przez okno, dał znak. Matka ostrożnie wstała i podtrzymując główkę dziecka, złożyła je na ławce. Obeszła gromadkę, kończy się mozolna podróż, zaraz wysiądą.

Hutnik z synami zaczął zbierać walizy, pakunki, wyciągać węzełki spod ławy. Dziewczęta zajęły się młodszym rodzeństwem. Chłopczykowi wcale nie przeszkadzała krzątanina ani odgłosy, zbliżające się gwałtownie, jakby rosnące ku drzwiom wagonu. Nie ruszył się też, kiedy matka wzięła go znowu na ręce, ani kiedy drgnęła silnie i chwyciła za żelazną sztabę, łączącą ławę z górną półką: wagon zakołysał się i stanął. Szepnęła: — Jaki zmęczony! — W tonie nie było troski, tylko głęboka tkliwość.

Ostrożnie skoczyła ze stopnia ku wyciągniętym dłoniom, starając się nie wstrząsać śpiącym. Stanęła w kolejce. Przed autobusem sprawdzano papiery, ludzie poruszali się niemrawo w świetle wczesnego ranka. Pachniało już morzem i rzeźkość wilgotnego powietrza rozbierała jak alkohol. W autobusie nawet matka zaczęła drzemać, ale nie pozwoliła zabrać sobie synka, który się po drodze rozbudził i rwał do okna.

W kilka godzin potem zobaczyłam ich znowu. Wyszli z jednego z domków w sosnowym lasku, których wiele pobudowali kiedyś bogaci kupcy szczecińscy. Drewniane, niewielkie wyglądają jak zabawki dla dzieci, jednak pomysłowość architektów rozplanowała wnętrza tak, że można w nich wygodnie gospodarować.

Tym razem rodzina hutnika ściągnęła na siebie nie tylko moją uwagę. Szła bowiem ubrana jak w mieście, uroczyście i starannie, niby na ważne spotkanie. Ojciec i starsi chłopcy mieli na głowach filcowe kapelusze, ciemne garnitury urągały jaskrawemu słońcu.

Podobnie jednak jak w pociągu, nie zważali na nikogo i odcięli się od ludzkiej ciekawości, zajęci sobą. Odniosłam wrażenie, że w ich postępowaniu tkwi jakiś im wiadomy i bezsprzecznie słuszny sens. Usłyszałam głos ojca: — Nie, Staszek. Stanowczo uważam, że jesteś w błędzie. Jakbyś się nie wykręcał i tłumaczył, to fakt: wstydzę się za ciebie. Wiem, że możesz robić lepiej. Że ci się po prostu nie chce.

A więc zgadłam: syn był powodem niezwykłej zadumy ojca w pociągu i opierał się jakimś jego racjom. Starałam się utrzymać między nami dystans, który by mi pozwolił łowić słowa.

— No więc dobrze. Niech będzie, że mi się nie chce. Bo po co? Źle nie pracuję, ale więcej — nie widzę potrzeby. Ty chcesz być przodownikiem — bądź sobie. A mnie wystarczy, co zarobię bez tego.

— Czy myślisz, że mi chodzi tylko o zarobek?

— Dajmy na to, że ci chodzi o zaszczyty. A ja o to nie dbam.

— Zaszczyty? Myślisz, że to już wszystko?

— No więc jeszcze lubisz pracować. To już chyba wszystko. A ja jestem inny. Tylko na tym mi zależy, aby zrobić swoje i mieć spokój.

Minęliśmy długą ulicę, przecinającą letnisko. Wysoki nasyp prowadził nad morze. Ojciec i syn zsunęli się w dół szerokimi krokami. Widać było, że nic ich nie zajmowało w tej chwili poza tematem rozmowy.

Natomiast inni pozostali w tyle, rozglądając się na wszystkie strony, wyraźnie porwani pięknem, widzianym po raz pierwszy w życiu. Chłopczyk wyrwał rękę matce i rzucił się na błyszczący piasek. Wiercił się w miejscu, kołował, zataczając rączkami szerokie kręgi, szalał. Nagle zaczął gwałtownie, namiętnie podnosić piasek do ust. Matka porwała go za dłonie. — Co ty robisz? Co robisz? Nie wolno... — Ale się jej wyrwał, nie dał się podnieść, opierał się krzyczał. Zaczął na sobie szarpać ubranko, aż mu je zdjęła. Wtedy dopiero się uspokoił, wtedy dopiero poszedł za matką.

Rodzina rozsypała się na większej przestrzeni, dzielącej wydmę od pasa wody. Pozostałam na boku — przykro wdzierać się w cudze sprawy. Ale dobiegł mnie głos Staszka, słowa wykrzyczane w uniesieniu. Widocznie się zniecierpliwił, jak każdy młody, kiedy mu dokuczyć zrzędliwością:

— Bardzo mądre to, co mówisz. Ja też uważam, że warto i trzeba wysilać się dla czegoś, co się pokochało. Nawet uważam, że wtedy wysilać się wcale nie jest trudno. Ale trzeba to uczucie mieć! Socjalizm! Wiem o nim, ciągle się o tym mówi na szkoleniu, w książkach, gazetach. Wszystko wiem i bez ciebie. Ale ty mi o nim powiedz inaczej, zwyczajnie, po prostu. Żeby chwyciło za serce. Potrafisz? No, potrafisz?

Mówił gwałtownie, jak ktoś kto rozpędził się w gniewie i nie ma zamiaru prędko skończyć. A jednak zamilkł pokonany jak reszta rodzeństwa niezwykłością tego, co zobaczył.

Jasna zieleń biegła daleko w przestrzeń, ciemniejąc coraz bardziej aż do skrajów horyzontu. W rozległości gubiły się głosy i cisza wydawała się głęboka, niezmącona, urzekająca. Tylko jednostajny chrzęst fali. Słońce żarzyło się na bezchmurnym niebie, jego ostre błyski odbijały od wody srebrnymi strzałami.

Cała gromadka skupiła się, otoczyła rodziców i tak zbliżali się powoli, w milczeniu, zapatrzeni w morze.

Ojciec pierwszy zdjął kapelusz, po nim chłopcy. Dziewczęta pochyliły się z zaciśniętymi ustami. Matka uklękła w kłującym piasku. I nawet mały stał nieruchomo. Zdawało się, że zataili nawet oddech. Kłaniali się niby w kościele, ale to, co ich obezwładniło nie było podobne do żadnego — doznanego kiedykolwiek — uczucia.

Nagle hutnik rzucił kapelusz na ziemię. Obiema rękoma podjął pod kolana malutkiego synka, zanurzył go w wodzie. Gwałtowny ruch, zimno powinny były wywołać krzyk malca, ale nic nie przerwało milczenia. Dopiero głęboki szept:

— Widzisz synku, czy widzisz? Kiedy ja byłem w twoim [illegible] kąpałem się w rynsztoku. Na śmierdzącym podwórzu, w brudnym rynsztoku. Nie marzyłem o morzu, nie wiedziałem nawet, że istnieje... A ono tak wygląda. I ty się będziesz w morzu kąpał...

Fala podpłynęła, chlusnęła wilgocią na nogawki odświętnego ubrania. Ale hutnik na to nie zważał. Powoli obrócił się ku najstarszemu synowi.

— To już wszystko. I nic więcej...

Marcelina Grabowska

Ilustrował WIESŁAW MAJCHRZAK

STANICY

— A no właśnie... Mówiłem wam... — powiedział pan Nikodem, wstał i nie wiadomo czemu włożył czapkę.

— Idź ty, Ludo — szybko powiedziała babka — powiedz, żeby przyszedł w dzień. Powiedz, że kładziemy się spać...

— Zaraz go wystraszę — uśmiechnęła się Luda i wyszła do sieni.

Po chwili dał się tam słyszeć śmiech i rozmowa.

— Patrzcie się, wpuściła! — rozłożyła ręce zdziwiona babka. — Wcale mnie nie słucha ta dziewczyna!...

Wszedł Włodzimierz, tym razem w marynarce i bez czapki.

— Napijecie się herbaty? — spytała Luda, zerkając to na pana Nikodema, to na babkę, i z trudem powstrzymując się od śmiechu.

— Nie odmówię. — Włodzimierz usiadł naprzeciw pana Nikodema i zaczął opowiadać, że płaszcz był mokry i nie chciało mu się wlec go z sobą.

— Jesteście na budowie? — spytał pan Nikodem.

— Na budowie. Za rok skończymy tu i pojedziemy gdzie indziej.

— O, jaki prędki! — uśmiechnął się pobłażliwie pan Nikodem. — W Nowoczerkasku kładziono fundamenty pod sobór z modlitwą, i też się zawalił dwa razy. Sto lat budowano...

— U nas nic się nie zawali — przerwał Włodzimierz. — My nie mamy czasu na takie luksusy. Skończymy tu, pojedziemy na Wołgę, a potem może na Ob albo na Jenisej.

— Dobry masz rozkład jazdy — nie wytrzymała babka Wasylisa. — Widzę, że ty naprawdę daleko patrzysz naprzód.

— Jeżeli bardzo daleko patrzeć, to można uszkodzić wzrok — zauważył pan Nikodem.

— Kto obawia się o swój wzrok, powinien pić tran — odrzekł Włodzimierz. — Nam nie wolno nie patrzeć naprzód. Pan Bóg, tworząc świat, pośpieszył się, rzucił jak popadło góry, lasy i pustynie. Bez żadnego porządku. A my teraz musimy wszystko poustawiać na miejsce: morze — na swoje miejsce, góry — na swoje, jak meble w domu, żeby było przytulniej.

Pan Nikodem słuchał, oglądając na wpół starte kwiatki na spodeczkach, z taką miną, jak gdyby on to wszystko wiedział już od dawna i z twarzy jego widać było, że nie dopatruje się on żadnego sensu w takich rozmowach.

— Wy tu zamierzacie morza przenosić — powiedział z westchnieniem — a morza schną póki co. Uczeni zrobili odkrycie, że Morze Kaspijskie, i to wysycha. Wyschną wszystkie morza i rzeki — i po paradzie. Przyroda swoje weźmie, jej nie dasz rady.

— Niesłusznie mówicie — zaoponował Włodzimierz. — Ilość wilgoci na ziemi nie zmniejsza się. Poziom Morza Kaspijskiego rzeczywiście spada, ale na to składają się różne przyczyny.

— Jakież to przyczyny? — spytał pan Nikodem.

— Dużo różnych przyczyn. Nawet ilość traktorów wpływa na to, że Morze Kaspijskie staje się płytsze.

— W jakiż to sposób staje się ono płytsze z powodu traktorów, pozwólcie spytać?

— A bardzo prosto. Czym więcej mamy traktorów, tym więcej ziemi ornej. A im więcej ziemi ornej, tym więcej wody zatrzymuje się w glebie i mniej spływa do Wołgi. A Wołga, jak wiadomo, wpada do Morza Kaspijskiego.

— Ciekawe! — powiedziała Luda.

— A właśnie, że to nic ciekawego! To od dawna znany aksjomat, że Morze Kaspijskie staje się coraz płytsze — rzekł pan Nikodem niezadowolony. — Na to jest nauka, żeby to wszystko badać. Wy, na ten przykład, uczyliście się pewnie. W technikum? Niech będzie w technikum. A wy myślicie, że nauczono was tam wszystkiego do końca? No, weźmy — zerko. Wy sobie pewnie myślicie, że zerko to zerko i tyle. A pomińcie w obliczeniach zerko — i cała tama wam się rozsypie. Każda cyfra ma swoje znaczenie. Nie z prosta ludzie zrozumieli, że trzynaście to feralna liczba. A, na ten przykład, sześćset sześćdziesiąt sześć — to liczba zwierzęca.

„No, teraz to już znowu w nocy nie usnę!" — westchnęła babka Wasylisa, ale w tym miejscu Włodzimierz nagle przerwał panu Nikodemowi.

— A czy znacie tabliczkę mnożenia przez dziewięć? — spytał.

Pan Nikodem zmarszczył się tylko, dając do zrozumienia, że nie lubi, gdy mu się przerywa. Ale Włodzimierz nie dawał za wygraną:

— Jesteście, jak widzę, wybitnym specjalistą od cyfr. Ile to będzie, na przykład, dwa razy dziewięć?

— Osiemnaście — odrzekł pan Nikodem pobłażliwie.

— Słusznie, osiemnaście. Wynik składa się z dwóch cyfr: jedynki i ósemki. Jeżeli dodać te dwie cyfry, to ile wyjdzie?

— No, dziewięć — odrzekł pan Nikodem, przybierając czujną postawę.

— Dobrze. Teraz: trzy razy dziewięć — dwadzieścia siedem. Dodajcie dwójkę i siódemkę.

— Znów dziewięć! — zdziwił się pan Nikodem i zaczął mruczeć:

— Cztery razy dziewięć — trzydzieści sześć; trzy i sześć — dziewięć. Pięć razy dziewięć — czterdzieści pięć; cztery i pięć — dziewięć... — To go oszołomiło.

— Ciekawe! — powiedziała Luda.

A babka Wasylisa, nie znająca tabliczki mnożenia, ale zadowolona, że straszne rozmowy się skończyły, ożywiona zaczęła częstować Włodzimierza herbatą.

Ale on spojrzał na zegarek i zaczął zbierać się do odejścia.

— Znów do Sokołówki? — spytała Luda.

— Tak. Teraz dobrze się idzie. Jest jasno i sucho.

— Albo lepiej nocujcie u nas — zaproponowała Luda, spojrzawszy na babkę. — Po co iść taki szmat drogi?

Babka Wasylisa przytaknęła głową i Włodzimierz został.

A następnego dnia przeniósł się do chaty babki Wasylisy z całym swoim dobytkiem: z dwiema nie zamykającymi się walizkami, z pieskiem i z maleńką poduszką, wyszywaną bułgarskim haftem. W walizkach było mnóstwo książek. Włodzimierz od razu rozstawił je na oknach między kwiatami.

— Kto to wyszywał? — spytała Luda, oglądając poduszkę.

— Mama wyszywała — odpowiedział Włodzimierz i uśmiechnął się.

Z babką Wasylisą umówili się tak, że będzie mieszkał i stołował się u nich do końca robót na budowie, a płacić będzie dwa razy w miesiącu, jak przyniesie wypłatę. I wyszło bardzo dobrze: Włodzimierz miał bliżej do pracy, a babka prawie przestała się bać — zawszeć to mężczyzna w domu — przyzwyczaiła się do niego i przy kolacji nazywała go Włodziem. A Luda zawiązała pieskowi wstążeczkę na szyi i lubiła patrzeć jak małe stworzonko drżąc z niecierpliwości wylizuje mleko. Włodek dał pieskowi imię „Monitor" i wytłumaczył, że jest na budowie taka maszyna — hydromonitor — która strumieniem wody może rozmyć każdą górę. Pracę miał widocznie ciekawą: na zalewanych łąkach naddońskich koło Kumszaku budował tamę wysoką prawie na czterdzieści metrów i długą na dwanaście przeszło kilometrów. I ziemię dla tej tamy wożono nie taczkami, nie furmankami i nawet nie ciężarówkami, lecz podawano ją rurami z dna Donu, zmieszaną z wodą. Woda niosła ziemię rurami na odległość dwóch, a nawet trzech kilometrów, układała gdzie trzeba, ugniatała lepiej niż wszystkie ubijacze i nawet, mówił Włodek, sama oddzielała drobny piasek od grubego. Tama rośnie i rury trzeba przestawiać wciąż wyżej i wyżej.

— U was na pewno woda przestawia też i rury? — spytała Luda, po wysłuchaniu tego wszystkiego.

— Na razie jeszcze nie doszliśmy do tego — poważnie odpowiedział Włodek — ale niedługo i to będzie.

Tak minęły cztery dni. Pan Nikodem nie zjawił się ani razu: rozgniewał się pewnie. Ale nie o pana Nikodema martwiła się babka Wasylisa. Była dotknięta, że Włodek nie bardzo jakoś zwraca uwagę na wnuczkę. Cała stanica napatrzeć się na nią nie może, a ten technik przyjdzie — i zupełnie jakby jej w domu nie było. A dziewczynie Bóg nie poskąpił urody: postawna, piwnooka, pół krwi Kozaczka. Co prawda Włodek bywał przemęczony, mówił, że zasadnicze roboty przy tamie trzeba skończyć obowiązkowo przed nastaniem mrozów, a oni nie mogą nadążyć. Ale babka Wasylisa chodziła pewnego razu pod Kumszak, widziała tę tamę. Góra wprost w oczach rośnie, prędzej już pracować nie można... Włodek przychodził późno, rozkładał papiery i książki, liczył i pisał, albo też zamyślony chodził z kąta w kąt, jak gdyby mierzył pokój swymi długimi krokami, a za nim, jak wahadło zegara, snuł się Monitor.

Ale babka Wasylisa nie wypatrzyła widocznie wszystkiego. W sobotę, jeszcze przed powrotem Włodka, Luda przybiegła z fermy i zaczęła prasować sukienkę z krótkimi rękawami — barwną jedwabną sukienkę, którą oszczędzała i miała na sobie zaledwie dwa razy.

Powinna była zjeść coś i biec na zajęcia — uczyła się na kursach dla polewaczy — ale i zupę zapomniała podgrzać, i na zajęcia nie poszła.

— Dokąd się wybierasz? — surowo spytała babka.

— Dziś jest kino w Sosnówce... zaprosił mnie pewien przystojny blondyn, babciu.

— Zimno ci będzie z gołymi rękoma.

— Nic nie szkodzi, babciu. Trzeba trzymać fason!

Luda przebrała się, siadła przy oknie i zaczęła patrzeć w tę stronę, z której przychodził Włodek. Siedziała w swojej pięknej sukience, to patrząc w okna, to przeglądając książki, w których narysowane były niezrozumiałe wykresy i znaczki. „Żeby tylko temu Nikodemowi nie strzeliło do głowy zjawić się teraz! — westchnęła babka. — Och, nieszczęście!" I zaledwie tak pomyślała, wszedł pan Nikodem z podarunkiem w chusteczce. Monitor zaczął łasić się do niego. Pan Nikodem odtrącił go nogą, popatrzył na walizki, na książki i powiedział ze smutkiem:

— A pies, poczekajcie tylko, wyrośnie i pogryzie wam wszystkie szmaty.

— Nie pomieszkają tu długo — uśmiechnęła się Luda — tylko do końca budowy.

— Dokąd się wybieracie?

— Do kina. Do Sosnówki.

— To niepewny człowiek — powiedział po namyśle pan Nikodem, zwracając się do babki. — Będzie się tak włóczył po świecie ze swoimi walizkami. Żadnego gospodarstwa nie założy... Dziś mówiono przez radio: leciał do nas samolot amerykański...

— A dziewięć pomnożone przez dwadzieścia sześć daje dwieście trzydzieści cztery — przerwała mu Luda — dwa i trzy i cztery to znów dziewięć. Dlaczego tak jest, Nikodemie Pawłowiczu?

Pomilczał przez chwilę, bębniąc po stole białymi palcami, nagle wstał gwałtownie i nie żegnając się wyszedł do sieni. Po chwili wrócił, wziął ze stołu podarunek i poszedł znowu, ale doszedłszy do progu zatrzymał się i powiedział:

— A dziewięć razy jedenaście jest dziewięćdziesiąt dziewięć. To kompletny dureń.

Dopiero po odejściu pana Nikodema spostrzegła Luda, że jest już późno i że kino w Sosnówce na pewno już się zaczęło. Ale siedziała wciąż przy oknie, patrząc na przeznaczone pod uprawę pola, różowe w blaskach zorzy wieczornej, na wyschłe dawne koryto Donu, i głaskała Monitora. Monitor piszczał u niej na kolanach, nudził się bez pana, i babce Wasylisie żal było i wnuczki, i pieska. Wreszcie, gdy zupełnie już ściemniało na ulicy, Luda zdjęła suknię, rzuciła ją na poręcz krzesła i położyła się spać.

— Lepiej, że nie przyszedł — powiedziała do babki — pogoda wstrętna, do Sosnówki pięć kilometrów. Niech sobie chodzi sama ta krocząca koparka.

Ale po upływie dziesięciu minut babka usłyszała, jak wnuczka, z głową wetkniętą w poduszkę po cichutku pociąga nosem.

W nocy przyszedł Włodek, przyniósł jakiś kamień, położył go na stole. Babka Wasylisa nie wypytywała go ani o kamień, ani o przyczynę spóźnienia; zacisnęła tylko usta, aby zamanifestować swoje niezadowolenie i poszła do kuchni grzać barszcz. Przy piecu krzątała się długo, stukała pogrzebaczem i myślała: „Niech posiedzi i poczuje swoją winę". Ale wszedłszy do pokoju zobaczyła, że Włodek śpi siedząc przy stole, z głową opartą na rękach. Obok niego na ławeczce spał Monitor. Na odgłos jej kroków Włodek zbudził się.

— Co to za głaz? — spytała babka.

— To ząb mamuta. Wyrzuciło go razem z ziemią... prezent dla Ludy. Ona pewnie obraziła się na mnie. Ja teraz znów idę, więc powiedzcie jej, że w żaden sposób nie mogłem przyjść na czas. Mamy tam nieprzyjemności... Mulisty grunt poszedł na tamę, nieodpowiedni. Nocą nie dopatrzono. Blisko tysiąc metrów sześciennych trzeba wymienić.

— No i co teraz?

— Nic. Poradzi się.

— Tu przychodził Nikodem — powiedziała babka z wahaniem. — Samolot, powiada, zagraniczny przyleciał do nas.

— No to co? — spytał Włodek, dokładnie opróżniając talerz.

— Żeby do wojny nie doszło...

— Nie bójcie się, babciu!

Włodek wstał ostrożnie, by nie zbudzić Monitora, włożył kurtkę.

— Patrzę ja na ciebie, — powiedziała babka — i nijak nie mogę zrozumieć — dlaczegoś ty taki spokojny. Czy może nieszczęścia nigdy nie zaznałeś?

— Nieszczęścia zaznaliśmy wszyscy. Ale myśmy je tymi oto rękami odegnali — i potrząsnął przed nią swoimi wielkimi, ciężkimi rękoma.

Poszedł i przepadał na budowie przez dwie doby prawie. Luda nie pytała o niego, wyrzuciła ząb mamuta na podwórze, ale babka widziała, jak Luda ukradkiem głaszcze Monitora i wpada w zadumę.

Babka Wasylisa kilka razy usiłowała wytłumaczyć wnuczce, że do nasypu dostała się niedobra ziemia i trzeba ją wyrzucić, a na to trzeba czasu, ale Luda mówiła: „No dobrze już, babciu!" — i nie słuchała. W narzuconym na ramionach szalu babka wychodziła pod ogrodzenie, od dawna domagające się naprawy i patrzyła w dal, poza samotne czarne wierzby, skąd powinien był nadejść Włodek. Przyszedł wreszcie, mokry, zadowolony. Luda nie odezwała się doń ani słowem, wzięła łopatkę i poszła do ogrodu, chociaż przekopywanie grządek można było odłożyć do następnego dnia.

— Zainstalowaliśmy dwie rury o średnicy 250 milimetrów każda — mówił Włodek do babki — skierowaliśmy je otwartym ujściem — jak armaty — na mulisty grunt, puściliśmy miazgę gruntową i odcisnęli całe to świństwo dobrym gruntem. Morowo, co, babciu?

Babka Wasylisa kiwała głową i cieszyła się po cichu, jakkolwiek nie bardzo rozumiała, o co chodzi.

Kolację chciał Włodek jeść w kuchni. Okno kuchni wychodziło na ogród. Widać było jak między badylami słoneczników i palikami, po których wiły się uschłe łodygi, chodzi Luda w wypłowiałej czerwonej sukience.

— Może ją zawołać? — nieśmiało zaproponowała babka.

— Niech pracuje — powiedział Włodek. — Lubię patrzeć, jak ludzie pracują. Przy pracy człowiek jest najpiękniejszy.

Na dworze było wietrzno. Łodygi winorośli sprężyście wyginały się w różne strony.

Luda szła przeciw wiatrowi, dumna, smukła, a czerwona sukienka trzepotała na niej.

— Wyglądałyście jak sztandar — powiedział Włodek, gdy wróciła.

— Przechodni? — kpiąco odezwała się Luda.

Włodek zaczął tłumaczyć, dlaczego nie mógł przyjść i babka słyszała, jak w toku rozmowy zaproponował wnuczce, aby w następną sobotę poszła z nim na wieczór amatorski budowlanych w osiedlu robotniczym i obiecał wstąpić po nią w dokładnie umówionym czasie. Luda mówiła, że wcale nie jest na niego obrażona, ale na wieczór amatorski nie zgodziła się kategorycznie: co sobotę opuszczać zajęcia z powodu jakiegoś tam kółka amatorskiego, to zbyt kosztowna rozrywka. Włodek długo namawiał ją, chodząc swoim zwyczajem z kąta w kąt, a Monitor stukając łapkami biegał za nim.

— Daj ty jej spokój — powiedziała babka Wasylisa, gdy Luda poszła doić krowę. — Za nic w świecie nie przegadasz jej.

— Namówię ją — odrzekł Włodek i uśmiechnął się.

I rzeczywiście namówił. W sobotę Luda znów prasowała suknię z krótkimi rękawami.

Słonko zaczęło schodzić za wierzby i świeciło już w kuchni. Zaraz powinien wrócić Włodek. Aby nie kręcić im się przed oczyma, babka poszła na podwórze, zabrała się do naprawy ogrodzenia. Splatając trzcinę zauważyła, że robota idzie jej składnie i że odżyła w niej chęć do krzątania się przy gospodarstwie. Od czasu, gdy zamieszkał u nich Włodek, lżej jakoś stało się na sercu, jak gdyby ubyło jej z dziesięć lat. Babka tak pochłonięta była pracą, że nie od razu zauważyła chłopczyka, maleńkiego i szczuplutkiego.

— Za pół godziny też nie znalazłbym waszej chaty — powiedział. — Włodek dał mi taki znak orientacyjny — dziura w płocie.

— A tyś kto? — spytała babka zdziwiona.

— Aleksander Jegorowicz. Włodek kazał powiedzieć, że wróci późno. U nas tam zapchała się rura, przez którą odprowadza się wodę z nasypu. Na górze wylało całe jezioro. Jeżeli woda przerwie wał, będzie awaria. Całe zbocze zawali się.

— No i co teraz?

— Nic. Poradzi się — powiedział Aleksander Jegorowicz takim samym tonem, jakim mówił Włodek.

Babka Wasylisa zakończyła swą nietrudną pracę, poszła do mieszkania. Luda siedziała przy oknie, czytała książkę Włodka. „No i jak jej powiedzieć? — pomyślała babka. — Znów będzie miała humor zepsuty na cały tydzień". Jednakże wytłumaczyła wnuczce, jak umiała, i o rurze, i o wałach. Luda wysłuchała wszystkiego uważnie, nie obraziła się i nie zmartwiła, wzruszyła tylko ramionami i znów zabrała się do czytania. I może wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby w tej właśnie chwili nie przyniosło pana Nikodema.

— Dokąd to? — spytał babkę Wasylisę, skinąwszy w stronę Ludy.

— Do kina, do Sosnówki — odrzekła Luda wesoło.

— Znowu z nim?

— Nie, z wami. Idziemy?

I poszli, a zdziwiona babka długo stała na środku pokoju, patrząc na nieszczelnie przymknięte drzwi, jak gdyby drzwi miały jej za chwilę wytłumaczyć, co się tu stało.

W piętnaście zaledwie minut po ich odejściu wrócił z pracy Włodek, mokry i zadowolony, zaczął rozglądać się na wszystkie strony, zajrzał do kuchni.

Babce Wasylisie było tak ciężko na sercu, że nie mogła rozmawiać z nim, wyszła na ganek i zaczęła wołać kotkę. Słońce już zaszło. Daleko za polem, tam, gdzie dawniej wyganiano krowy na pastwisko, niespokojnie stukały o szyny koła wagonów. Po drugiej stronie panowało głębokie milczenie i w ciemności można było odgadnąć, że tam jest Don. — Kis-kis-kis! — zawołała babka, owijając się w szal i nadsłuchując, jak oddala się pociąg. — Kis-kis-kis!

Kotka powoli przyszła do sieni. Babka zamknęła drzwi, zakrzątnęła się przy herbacie. Głaszcząc połyskliwą sierść Monitora, Włodek spojrzał na nią pytająco. Opowiedziała więc o Ludzie, o panu Nikodemie i przy końcu opowiadania rozstroiła się zupełnie.

— To nic, babciu — powiedział Włodek, słuchający jej z uwagą. — Ona zaraz wróci. Poczekamy — i położył na stole swe duże ciężkie ręce.

Sergiusz Antonow

Tłumaczyła **Rozalia Lasotowa**

W dniach 2—3 marca obradowała w gmachu Ministerstwa Kultury i Sztuki I Ogólnopolska Konferencja Twórców Ludowych. Konferencja ta, która zgromadziła artystów ludowych ze wszystkich regionów Polski, poświęcona była dyskusji nad sprawą wielkiego znaczenia, jaką jest wkład twórczości ludowej dla rozwoju plastyki polskiej, dla formowania się narodowej kultury socjalistycznej. Podczas konferencji wielu delegatów odznaczonych zostało Srebrnymi Krzyżami Zasługi. Poniżej zamieszczamy w rysunkach J. Walker trzy sylwetki uczestniczek Konferencji.

Felicja Curyło—malarka ze wsi Nowolipie, odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi

Józefa Halata
Wycinkarka ze wsi Monice

Franciszka Rybko
Tkaczka ze wsi Lipin

ZOFIA BYSTRZYCKA

Kobiety z Rogowa

Hala pełna była dziennego światła, które co kilka minut wzmagało się od ostrego, słonecznego blasku. Wtedy dym pełzający nad głowami siedzących wyglądał jak mgła. Ile papierosów wypaliło w tym dniu pięć tysięcy spółdzielców? Dopiero podnosząc głowę widziało się, że dzień szedł od długich lamp wiszących pod sufitem, a przypłynęły słonecznego światła rzucały reflektory do zdjęć filmowych. Bo na dworze dawno był już wieczór.

Przysiadłyśmy na krzesłach zdobytych skomplikowanym manewrem taktycznym. Jedno wyciągnęłam — uśmiechając się przepraszająco — spod siedzenia mężczyzny, którego zdaje się znam. Drugie krzesło miało tylko trzy nogi, więc stało w kącie krzywe i czekało na amatora, jak brzydka panna na zabawie.

Gadałyśmy nie zawsze cicho, a ja przybierałam intrygujące pozycje, żeby nie zlecieć z krzesła, bo czasem pięć nóg, to za mało. Jednostki porządkowe podejrzliwie patrzyły na kobiety, które potrafiły zdobyć krzesła w taki dzień, więc odwróciłyśmy krzesła tyłem do nich, a przodem do ściany, żeby nie drażnić.

Moja rozmówczyni nazywa się Łucja Grotowa. Jest przewodniczącą spółdzielni produkcyjnej w Rogowie, gmina Duraczów, powiat Końskie. Ma lat 40, ale młode oczy i białe, równe zęby. Oczy ma bure, takie zielono-brązowe, i zmarszczki, występujące na skroniach kiedy się śmieje, nie postarzają jej wcale.

Grotowa mieszka we wsi podmiejskiej i jej mąż, jak wielu innych, jeździ do Końskich, do fabryki na robotę.

Kobiety więc gospodarowały same w domu i na polu. Sprawiedliwość każe stwierdzić, że nie czuły wielkiej męskiej pomocy. Postanowiły więc w roku 1952 założyć spółdzielnię produkcyjną, rozumując słusznie, że jak nie własny chłop, to Państwo im pomoże. Odważnie wybrały typ III i odważnie wybrały swe władze. Władze wyglądają tak: Sołtys — kobieta. Podsołtys — kobieta. Sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej — kobieta, Przewodniczący spółdzielni — kobieta, właśnie Łucja Grot, która siedzi koło mnie i w skupieniu patrzy w ścianę. Spółdzielnia miała start niełatwy. Pod gołym niebem, można powiedzieć. Bez resztówek i bez budynków. Państwo dało długoterminowe pożyczki inwestycyjne i kobiety zaplanowały oborę. Ale to później, bo na razie trzeba było uprawić wspólną ziemię i okazało się, że w młodej spółdzielni nie ma ani jednego konia. Więc Grotowa wybrała się do Końskich, do Pow. Komitetu PZPR i tam usiadła naprzeciw I sekretarza. Zaznaczyła przy tym, że może tak siedzieć bardzo długo, bo ma dużo cierpliwości, a nie ma koni i żeby o tym sekretarz pomyślał. Sekretarz koni nie miał, bo jeździł samochodem, ale poradził Grotowej telefon. Wtedy Łucja siadła przy telefonie i wydzwoniła pięć par koni z różnych instytucji na 2 tygodnie. Czworonożni goście obrobili ziemię i bardzo byli zadowoleni z damskiej obsługi, której doznali po raz pierwszy w swym końskim życiu.

Mężowie jeździli jak zwykle do fabryki, patrzyli na babską gospodarkę, potem na siebie i wzdychali, co to za czasy. Kobiety założyły przedszkole i ochronkę, żeby im się dzieci pod nogami nie pętały, kiedy robią socjalizm na wsi. Mężczyźni wierzyli w Grotową i kobiety, w ich wzdychaniu i docinkach kryło się uznanie. Tylko jeden chodził i mówił, że Łucja nie da sobie rady, że rewolucja to nie dla niej. Kto? Z radością kobiety zamężnej muszę stwierdzić, że był to jej rodzony mąż, który jako rasowy towarzysz życia od 22 lat nie miał czasu poznać swej połowicy. Zresztą Łucja szybko go uspokoiła — teraz Grot siedzi w domu i nawet krowę doi, kiedy żona ma posiedzenie.

Potem zbudowano oborę. Kobiety wykopały fundamenty, zwiozły na trzech — już własnych koniach — cegłę i deski, tylko do kantówek zmobilizowały mężów, bo kantówki były za ciężkie. Którejś soboty, kiedy robotnicy w fabryce odlewniczej w Końskich pracę kończyli wcześniej, Łucja działając przez zaskoczenie zawiozła ich od razu do Białaczowa do tartaku, gdzie kantówki załadowano do wagonów i przywieziono w trzy godziny na miejsce budowy.

Kobiety do nowej obory wprowadzają na początek: 4 konie, 8 krów, 6 świń na maciorki, jednego knura i 15 owiec. Niewiele to, prawda, ale zwierzęta mają to do siebie, że się rozmnażają i że się tak wyraże płacą własnym mięsem i mlekiem za dobrą opiekę.

Radzą więc sobie kobiety nieźle, tylko szukają chłopa do koni.

— A nie ma u was takich mężczyzn... hm, normalnych? — pytam wiercąc się na krześle, bo krzesło chyli się w „beznożną" stronę.

— Takich gospodarzy, co by weszli do spółdzielni? — rozumiemy się z Grotową od razu. Są, pewnie. Chyba z piętnastu jest takich w naszej wsi, co z roli żyją. Tylko do spółdzielni nie wstępują, bo konie mają i żal im. Niepolityczni. Dlatego mamy trudności z męską siłą roboczą.

Na młodej spółdzielni spoczywa wielka odpowiedzialność. Cała okolica patrzy na wysiłek kobiet, tegoroczna dniówka obrachunkowa może przekonać lub zrazić resztę wsi. Ta babska spółdzielnia jest zjawiskiem bardziej typowym, niż myślisz, czytelniku. Bo przy każdym większym mieście żyją wioski, skąd mężczyźni chodzą na robotę do fabryk i tym się zasłaniają przed założeniem spółdzielni.

Niedziela jest w Rogowie dniem narad. Komisja w składzie mężów ogląda rezultaty pracy tygodnia, służy światłą radą, a kobiety mądre rady przyjmują, na inne mówią: „E, to takie męskie gadanie!" — i nieznacznie pędzą mężów do roboty. Bo w niedzielę okazuje się, że mężczyzna jest w gospodarstwie potrzebny. Niektórzy mężowie buntują się, krzyczą o wyzysku człowieka przez człowieka, ale większość pomaga spółdzielni i ma spokój w domu.

Dzień 8 marca będzie w Rogowie wielkim świętem. Będzie przedstawienie, zabawa taneczna i dochód z tej zabawy do kasy spółdzielni.

— W przedstawieniu mam rolę zastraszonej przez męża kobiety, która płacze na scenie, bo widzi, że jest człowiekiem, ale się nie rozwija.

— A potrafi pani zagrać taką? — pytam ostrożnie, bo czuję w sobie wyraźną wątpliwość.

— A siać i worki nosić to potrafiłam? Wszystko się potrafi, jak się chce — mówi Łucja, a jej bure oczy robią się w uśmiechu wąskie jak szparki.

Rozmowę naszą niby akord kończą oklaski. Ludzie podnoszą się z miejsc i skandują dwa nazwiska, które dały nazwę naszej epoce i nowe życie tym ludziom.

Zofia Bystrzycka

ADOLF SOWIŃSKI

SZTUKA O JANIE KOCHANOWSKIM

Jaka była sytuacja społeczna w Polsce z tej epoki, gdy żył i tworzył Jan Kochanowski?

Czasy ostatniego z Jagiellonów, króla Zygmunta Augusta, na którego panowanie przypada pierwszy wiek męski Kochanowskiego (gdy król umierał w roku 1572, poeta miał 42 lata), nacechowane są ostrą walką szlachty z magnaterią, z karmazynami świeckimi i dostojnikami kościelnymi. Możnowładztwo świeckie i duchowne stanowiło w państwie olbrzymią potęgę, która przytłaczała masy szlacheckie, dyktując jednocześnie zasady swej polityki ekonomicznej tronowi. Albo na mocy dawnych przywilejów, albo też prawem kaduka rody magnackie i instytucje kościelne utrzymywały przy sobie majątki skarbowe czyli królewszczyzny, wielkie włości, rozciągające się niejednokrotnie na kilka powiatów, obejmujące wsie, miasteczka i zamki warowne wśród niezmierzonych przestrzeni lasów i pól. Szlachta, patrząca zazdrosnym okiem na ten stan posiadania magnaterii, podnosiła larum na sejmach, domagając się „egzekucji praw", czyli powrotu królewszczyzn do skarbu.

Olbrzymie bogactwa zgromadził wokoło siebie kościół. Dwory biskupie nie ustępowały w przepychu dworom magnatów świeckich. Bogaczami byli mniejsi dostojnicy kościelni. W niezmierne dobra obrosły klasztory. Oczywiście najważniejszym źródłem władzy i dochodów kościoła była własność ziemska, za której użytkowanie ściągano od chłopów dziesięciny.

Z dawien dawna kościół nie tylko strzegł czujnie swych majętności, ale wszelkimi siłami i sposobami starał się je powiększyć, wymuszając na królu, który z konieczności dzielił się władzą, coraz to nowe włości i przywileje. Na straży interesów kościoła jako wielkiego posiadacza stała jurysdykcja duchowna, która sądziła sprawy ludzi oskarżonych o występowanie przeciw zasadom wiary. Od wyroku można się było odwołać tylko do Rzymu, ale że taka apelacja była nader kosztowna i z zasady nie dawała skutku, więc w praktyce wyrok sądu duchownego był ostateczny. Pod groźbą klątwy musiała go wykonywać władza świecka. Oczywiście pod pozorem troski o czystość wiary skazywano, kompromitowano i w ten sposób pozbywano się ludzi, którzy stawiali opór zachłanności kościoła na dobra tego świata. Kosmopolityczny, opierający się o Rzym jako stolicę papiestwa, kler wyższy zerwał z interesami państwa i narodu.

W tych warunkach, gdy duchowieństwo katolickie nakazywało maluczkim bezwzględne posłuszeństwo i zachwalało im ubóstwo, a samo trzęsło państwem i było największym posiadaczem ziemskim, r e f o r m a c j a stała się buntem przeciwko przytłaczającej potędze gospodarczej kościoła. Bunt ten narastał w ciągu wieków, ale teraz dopiero wybuchnął otwarcie i z niepohamowaną siłą.

W Polsce reformacja ogarnęła sporą część szlachty, nie tylko spoglądającej z zawiścią na bogactwa kościelne, ale i wśród swych najlepszych jednostek nastawionej patriotycznie, pragnącej zerwać z zależnością państwa od Rzymu i stworzyć narodowy kościół polski. Toczyła się walka o r z e c z p o s p o l i t ą s z l a c h e c k ą, o szlachecką demokrację. Mimo że szlachta ze swej strony uciskała chłopa i wydzierała kolejno różne korzyści gospodarcze miastom, jej ówczesne dążności należy uznać za postępowe, gdyż mając na oku swoje własne cele klasowe przyczyniała się jednocześnie do umocnienia państwa polskiego, w którym chciała obalić władzę feudalnych magnatów i kosmopolitycznego kleru. Były to podówczas cele ogólnonarodowe.

Na kanwie tak naświetlonej historii Aleksander Maliszewski osnuł swą sztukę o Janie Kochanowskim, graną obecnie z wielkim powodzeniem w Państwowym Teatrze Współczesnym. Jej tytuł — „Droga do Czarnolasu" — jest kompozycyjnym dopełnieniem całości. Chodzi bowiem o to, że w poecie, pochodzącym ze średniozamożnej szlachty, ucieleśniły się i skondensowały dążności postępowe jego czasów. Mimo że dzięki talentowi i zdobytym w Padwie naukom zapewnił sobie poczesne miejsce na dworach biskupów-magnatów, mimo że w końcu zostaje nawet sekretarzem królewskim, Kochanowski zrywa z tą karierą i osiada w przypadającym nań z działu rodzinnego Czarnolesie, podkreślając tym samym swą aprobatę dla antymagnackiej ideologii politycznej mas szlacheckich.

Stworzywszy na tle historii taką koncepcję losu poety, Maliszewski postawił sobie za zadanie ukazać fabularnie poszczególne etapy „drogi do Czarnolasu".

Rzecz zaczyna się w Sycynie, rodzinnej wsi Kochanowskich. Nie żyją już starzy rodzice. Gospodarzą ich dzieci, których spłodzili mnóstwo. Maliszewski pokazuje nam dwóch braci Jana, Kacpra i Piotra Kochanowskich, obydwu tęgich gospodarzy, nie dających się wywieść w pole nawet staremu kutwie i obłudnemu lichwiarzowi, stryjowi Filipowi, wcieleniu krętactwa i pieniactwa majątkowego, z którego — jak o tym świadczą akta sądowe — słynęła ongi w tamtych stronach rodzina Kochanowskich. Jan, nie troszczący się o dobra tego świata, jest „wyrodkiem" w tej rodzinie. Porzucił niedawno dwór biskupa Padniewskiego i ost[illegible] myślą o przywdzianiu sukni duchownej. Zaszył się na wsi. Ma lat trzydzieści kilka. Żyje wczasami poetyckimi, ale rychło porywają go znowu wydarzenia wielkiego świata.

W drugim akcie poeta zjeżdża na sejm do Piotrkowa, gdzie toczy się sprawa powrotu intrat kościelnych do skarbu. Szlachta napiera ostro i gotowa jest głosować przeciwko interesom materialnym kościoła. Wtedy biskup Padniewski chwyta się fortelu.

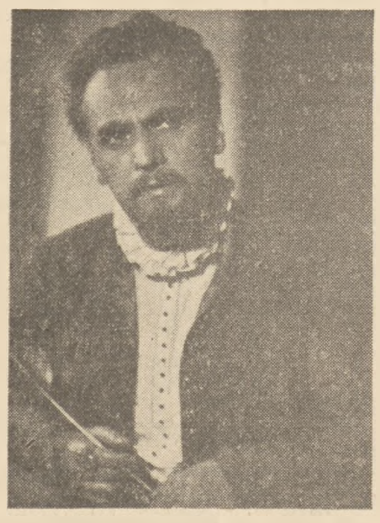

Marian Wyrzykowski w roli Kochanowskiego

W swej mowie sejmowej przypomina posłom zagrażające krajowi niebezpieczeństwa zewnętrzne, wobec których muszą ustać rzekomo błahe spory o intraty. Nawołuje do pojednania i patetycznie odczytując „Zgodę" Kochanowskiego, wyzyskuje ten gorzki i prawdomówny poemat („A otuchę im czyni nie siła, nie zbroja, Ale tylko niezgoda sławna, Polsko, twoja...") do celów korzystnego dla magnaterii solidaryzmu społecznego. Porwana słowami poety izba uchwaliła podatek dziesięć groszy od kmiecego łana, nie kwestionując praw kościoła do królewszczyzn.

Odczytanie przez biskupa Padniewskiego „Zgody" na sejmie w Piotrkowie nie jest faktem historycznym zachowanym w dokumentach, ale wykorzystanie przez ówczesny kościół do celów agitacyjnych imienia sławnego poety, autora hymnu „Czego chcesz od nas, Panie...", nie budzi żadnych wątpliwości. Toteż Maliszewskiemu wolno było wybrać taki sposób zilustrowania tego nadużycia agitacyjnego, jaki mu był w akcji potrzebny. Miał przy tym prawo posłużyć się prawdopodobnym wydarzeniem o skali państwowej, skoro twórczość poety wstrząsała umysłami epoki. Zresztą pod pozorami zagadnienia naukowego, w rozważaniach mających na celu obronę katolickiej prawowierności Kochanowskiego, do ostatnich czasów robiono z poety zwolennika hierarchii kościelnej, przesłaniając dogmatami żywą w jego pisarstwie krytykę politycznej działalności papiestwa i kleru. Pisał przecież w jednej ze swych elegii łacińskich:

...Sancte Pater! Daleko od ołtarza
odszedłeś —
Usłysz jeśli cię w zbrojnym tłumie
głos ten dosięgnie —
Piotr do ciebie tak woła —
o, najlepszy z pasterzy:
„Jam to w Chrysta obronie dobyć
nie śmiał oręża,
A Ty, który następcą mym,
piotrowym się mienisz,
Możesz wojny straszliwe, wojny
krwawe, bezecne —
O co? — Powiedz! O państwa,
o fortuny prowadzić?!!!

Sprawa nadużycia agitacyjnego wyglądała ongi, za czasów Kochanowskiego, tak samo jak w czasach ostatnich, toteż Maliszewski jedynie przerzucił niedawną, znaną nam teraźniejszość na daleką przeszłość, na współczesną poecie historię.

Z tego jednak, że Kochanowski ostro krytykował hierarchię kościelną nie wynika bynajmniej, że burzył się w nim również groźny ferment dogmatyczny, że był to zwolennik reformacji w zakresie religijnym. Dlatego poeta słusznie mówi u Maliszewskiego: „Z reformą nie pójdę!" Ale Maliszewski poprzestaje na włożeniu w usta poety tylko takiej skrótowej formuły, jak gdyby i spory dogmatyczne nie rozogniały podówczas umysłów, czego bynajmniej nie trzeba w relacji omijać (nie oznacza to, żebyśmy się mieli zapuszczać głęboko w mroki teologii). Umysł tej miary, co Kochanowski, mógł i powinien w sztuce zdobyć się na jakieś indywidualne argumenty uzasadniające niechęć do wkroczenia na arenę wielkiego sekciarstwa ówczesnego. Ograniczona w swej apodyktyczności formuła: „Z reformą nie pójdę!" jest niedostateczna i — żeby posłużyć się przenośnią — do złudzenia przypomina orzeczenie boga z machiny.

W Piotrkowie, gdzie toczy się na sejmie walna rozprawa o egzekucję intrat, Maliszewski umiejętnie przeplótł wątek polityczny z osobistym życiem poety i pokazał jak dalece obie te sprawy łączą się z sobą w brutalnej rzeczywistości stosunków feudalnych. Pamiętamy wszyscy wiele fraszek o Hannie, z których najpiękniejsza jest chyba ta:

Tu góra drzewy natknioną,
A pod nią łąka zielona;
Tu zdrój przezroczystej wody
Podróżnemu dla ochłody;
Tu zachodny wiatr powiewa,
Tu słowik przyjemnie śpiewa —
Ale wszystko to za jaje,
Kiedy Hanny nie dostaje.

Ta Hanna z poetyckich fraszek, postać niewątpliwie historyczna, bierze znamienny udział w akcji jako narzeczona poety. Maliszewski czyni z niej córkę bezimiennego wojewody kresowego, magnata-wichrzyciela łasego na tłuste, żyzne łany ościennej Mołdawii. Na zamku królewskim w Warszawie, gdzie rozgrywa się trzeci i ostatni akt sztuki, następują jednocześnie dwie katastrofy: polityczna i miłosna, obydwie w swym zakresie dobroczynne. Król zagroził Wojewodzie karą śmierci, jeśli w swej samowoli nie zaprzestanie pustoszyć pogranicznych ziem sąsiedniego państwa, a zaraz potem w przedpokoju królewskim padewczyk Andrzej Patrycy Nidecki, przyjaciel poety, daje jak gdyby w imieniu całej szlachty tęgą odprawę butnemu magnatowi, gdy ten sięga do szabli. Jest to dobroczynna dla narodu katastrofa możnowładcy, który czuje w swym upokorzeniu, że zachwiały się podstawy jego nieograniczonej dotąd władzy. Jednocześnie Hanna, nieodrodna córka swej klasy, zrywa długie narzeczeństwo z Janem, który roztoczył przed nią perspektywy poświęconego pracy poetyckiej, cichego życia w Czarnolesie, z dala od zgiełku wielkopańskich dworów, gdzie trzeba zginać kark i w służalstwie zaprzepaścić swe marzenia o sprawiedliwości.

Nie, Janie. Nigdzie wspólne
nie wiodą nas cele.
Nie schyliłm się nad księgą u twojego
stoła,
Nie będziem twoich świateł do głów
ludzkich wołać.
— — — — — — — — — —
Nie jednaka nam droga — trza iść we
dwie strony.
Ja — w jedną szukać męża, a waść
w drugą — żony...

— mówi Hanna u Maliszewskiego. Jest to zbawienna dla poety katastrofa miłosna. Na jej gruzach z miejsca wyrasta nowe życie. Już tam Anna, siostra poety, której dziewczęcą sylwetkę autor narysował z wielkim wdziękiem, zatroszczy się o to, aby Jan ożenił się z dobrą, czułą i uroczą Dorotą Podlodowską, która wesoło razem z Muzami zamieszka w nowym domu czarnoleskim.

Rzecz kończy się dowcipną sceną, gdy poeta — znużony sekretarz królewski — powziąwszy decyzję odlotu do Czarnolasu, zadrzemał sobie przy stole i nie obudził się nawet wtedy, gdy do izby wpadła hałaśliwa czeredka szlachty pragnącej dostać się w jakiejś sprawie do króla. Krzykliwych ucisza przyszła żona poety, której słów — trafnie wystylizowanych przez autora sztuki — posłuchajmy:

Ciszej, mości panowie, chocia grają
dzwony —
on zasnął, niech odpocznie, jest
wielce strudzony.
Przecie co dnia pleśniami serca nasze
kruszy,
przecie światło zapala co dzień
w każdej duszy —
by spokój mieszkał w ludziach,
by świecił nad krajem —
a pięknie mówić umie, że aż serce
staje.
Toć kwiaty mocniej pachną na jego
skinienie,
ptak śpiewa o miłości i dzwonią
strumienie,
wiatr chmury z nieba pędzi, a z czoła
i troski —

„Kto? Król?" — pyta szlachta. Siostra poety kładzie palec na ustach i odpowiada:

...Jan Kochanowski.

Polityczna i osobista droga poety do Czarnolasu jest zakończona. Pozostaje tylko rozpocząć budowę nowego domu w tych stronach, gdzie na dalekim, północnym przedpolu Gór Świętokrzyskich („Wysokie góry i odziane lasy, Jako rad na was patrzę, a swe czasy Młodsze wspominam...") otwierają się w płaskich puszczach nasłonecznione, żyzne polany z sadami sprzeciwiającymi się echu.

Dawno już nie widziałem przedstawienia, w którym by poezja tak organicznie wiązała się ze śmiałą rewizją historyczną. W „Drodze do Czarnolasu" poezja nie jest zdobniczym pięknem fragmentów, ale konsekwetnie idzie wraz z akcją polityczną i co krok naświetla nam sylwetkę poety, który po to błądzi, aby dojść do celu.

Jest to sztuka o poecie napisana przez poetę. Z ryzykownego przedsięwzięcia, aby o wielkim poecie napisać rzecz wierszem, Maliszewski wyszedł zdecydowanie obronną ręką. Jego wiersz — z zasady trzynastozgłoskowiec rymowany ściśle lub bliskimi asonansami — nie nasuwa ani na chwilę wrażenia sztuczności, jest wartki i giętki, a chociaż autor szczodrą ręką stosuje leksykalny koloryt epoki, to jednak potrafi utrzymać się w godziwych granicach stylizacji, co doskonale świadczy o jego guście i o erudycji, której sens polega przecież na umiejętności selekcjonowania i podporządkowania struktur formalnych potrzebom treściowym.

Ze szczególnym naciskiem wypada podkreślić, że Maliszewski może zapisać na swoje dobro niemałe osiągnięcie kompozycyjne, umiał bowiem z pełną naturalnością połączyć sprawy publiczne z indywidualnymi kolejami człowieka, umiał pokazać jak życie osobiste wynika z życia publicznego. Śmiem prorokować, że otrzymaliśmy nieprzemijającą sztukę o doniosłym momencie naszej przeszłości narodowo - kulturalnej.

Państwowy Teatr Współczesny uczynił chyba wszystko, aby dać „Drodze do Czarnolasu" właściwy kształt sceniczny. Reżyseria Erwina Axera uwypukliła i zróżnicowała sylwetki wszystkich postaci występujących w sztuce, tak że za każdym razem widzimy na scenie ostro zarysowane charaktery ludzkie, zdecydowane typy, których stworzenie jest oczywiście pierwotną zasługą autora. Widowisko robi duże wrażenie i przekonuje, role od czołowych do drugoplanowych są trafnie obsadzone i opracowane starannie, tak że właściwie trudno jest wyodrębniać poszczególnych aktorów tego pięknego przedstawienia, które publiczność przyjmuje z serdecznym aplauzem.

W roli Kochanowskiego z powodzeniem wystąpił Marian Wyrzykowski, który zniewolił nas do uznania że gra wielkiego poetę, chociaż może charakteryzacja na trochę mniejszą korpulencję zbliżyłaby tę postać jeszcze bardziej do wyobrażeń, jakie mamy o miłośniku pięknej Kaliopy. Pełna prawdy i wdzięku była scena, gdy Dorota Podlodowska (Zofia Mrozowska) recytuje Kochanowskiemu hymn „Czego chcesz od nas, Panie...", a poeta z nie dość łagodnym uporem raz po raz koryguje szyk słów w członach wiersza. Anną, siostrą poety, jego z dobrej woli przewodniczką na drodze

Danuta Szaflarska (Anna) i Barbara Drapińska (Hanna)

do Czarnolasu, była Danuta Szaflarska. Trzecią w sztuce postać kobiecą, zimną i wyrachowaną wojewodziankę Hannę, oddała Barbara Drapińska. I Józef Kostecki jako Piotr Kochanowski, i Jerzy Duszyński jako Kacper Kochanowski umiejętnie i bezpośrednio odtworzyli dwu przedstawicieli szlachty folwarcznej. Wojewodę, pysznego i zachłannego magnata, inteligentnie ustawił Tadeusz Białoszczyński. Dwie świetne postacie charakterystyczne: kutwę Filipa Kochanowskiego („Bądź ty mi stryjem przedsię po staremu, Jeno nic nie bierz synowcowi swemu" — pisze o nim poeta) i Gąskę, gospodarza zajazdu „Pod zamkiem" w Piotrkowie, stworzyli Henryk Borowski i Lech Ordon. Prawdziwym padewczykiem i sekretarzem królewskim był Janusz Jaroń jako Andrzej Patrycy Nidecki. Grzegorza Podlodowskiego, brata Doroty, młodego starostę radomskiego, energicznie zagrał Andrzej Łapicki. W epizodycznych rolach deputowanych na sejm wystąpili: Stanisław Kwaśkowski, Józef Wasilewski, Szczepan Baczyński i Czesław Guzek.

Stwarzające należytą atmosferę historyczną kostiumy i oszczędne dekoracje skonstruował Otto Axer.

Adolf Sowiński

ALEKSANDER PUSZKIN

BAJKI

NOËL

Na Ruś, co koń wyskoczy
Wędrowny tyran gna!
Zbawiciel łezkę toczy
I lud z nim gorzko łka.
Maryja pełna trosk dzieciątko straszy, prosi:
„Oj nie płacz synku, królu mój,
Patrz: ruski car — straszydło, zbój!"
Car wchodzi i wszem głosi:

„O wiedz narodzie ruski,
Co wie już cały świat,
Że pruski i rakuski
Mundur obnoszę rad.
Narodzie, wesel się, żem zdrów i wypasiony;
Na cześć mą pismak hymny piał,
Jam obiecywał, pił i spał
I wracam niestrudzony.

Jeszcze na koniec misji
Moja to sprawi moc,
Że Ławrow — do dymisji,
Do czubków pójdzie Soc!
Ustawy dobre dam i pójdzie precz Gorgoli;
A ludziom pełnię ludzkich praw
Ja łaską carską — Boże spraw —
Przywrócę z własnej woli".

W pościółce się cieszyło
Dzieciątko na ten dar:
„Czyżby to prawdą było?
Czyżby to nie był żart?"
A matka mówi doń: „Baj — baju! Noc zapada,
Syneczku miły, oczka zmruż,
Sam ojciec - car, jak anioł stróż,
Nam bajki opowiada".

1818.

Tłumaczył Marian Toporowski.

Puszkin, Aleksander I i Sejm Polski

Car Aleksander I lubił rozjeżdżać po swoim rozległym imperium; chętnie także odbywał podróże za granicę. Mówiono o nim, że rządzi Rosją z pocztowej kolasy. Ten monarcha, który w początkach swego panowania łudził współczesnych nadziejami na liberalne reformy, uważając przy tym, że ma do spełnienia wielką misję dziejową, po rozbiciu Napoleona wziął kierunek na skrajną reakcję i pod koniec jego rządów srożył się w Rosji najcięższy ucisk ludu i policyjny terror. To Aleksander chciał zesłać młodego wówczas lecz już sławnego poetę — Aleksandra Puszkina, na Sołowieckie wyspy. Nie można zresztą powiedzieć, aby nie miał do tego powodów. Młody Puszkin w śmiałych wierszach i dowcipnych epigramatach walczył z caratem i jego sługusami. Gromił tyranię i wielbił idee wolności. Oczywiście wiersze te za życia poety i długo później nie były drukowane. Tym szerzej za to rozchodziły się w odpisach podawane z rąk do rąk, z ust do ust na obszarach rozległego imperium. One to w wysokim stopniu przyczyniały się do zrewolucjonizowania nastrojów społeczeństwa rosyjskiego, przygotowując w ten sposób grunt dla powstania dekabrystów.

W marcu 1818 roku Aleksander pojechał na otwarcie sejmu polskiego w Warszawie. Wygłosił wówczas mowę, w której zapowiedział rozciągnięcie swobód konstytucyjnych Królestwa (zresztą nie respektowanych) również na Rosję. Oczywiście nie zamierzał dotrzymać swojej obietnicy i nie dotrzymał jej nigdy. Puszkin zorientował się od razu w tej obłudnej grze. Dało mu to powód do napisania satyrycznego utworu pt. „Bajki", w którym bajkami nazwał carskie obietnice. Przy sposobności Puszkin przypiął i inne łatki carowi. Z racji jego częstych rozjazdów i podróży zagranicznych nazywa go w „Bajkach" koczującym tyranem. We wrześniu 1818 roku Aleksander wziął udział w spotkaniu monarchów pruskiego i austriackiego w Akwizgranie, gdzie zostały powzięte najbardziej reakcyjne decyzje współpracy trzech państw rozbiorczych w duchu Świętego Przymierza. Postanowiono wspólnie dławić wszelkie dążenia i porywy wolności wśród podbitych i własnych narodów. Zagraniczna prasa reakcyjna chwaliła Aleksandra za udział w tym zbożnym dziele, w ramach zaś dyplomatycznej kurtuazji Aleksander otrzymał honorowe tytuły feldmarszałka armii pruskiej i austriackiej. Tych faktów, z których chełpił się Aleksander, nie omieszkał również wyszydzić Puszkin w swoim wierszu, mówiąc o obcym pismaku i mundurze pruskim i austriackim.

Sam wiersz był pisany w stylu piosenek szopki satyrycznej. Utwory tego rodzaju związane ze świętami Bożego Narodzenia wprowadzały motywy Jezusa i Marii i dawały przegląd najważniejszych wydarzeń kończącego się roku. Sam rodzaj literacki wzorowany był na podobnych piosenkach francuskich i stąd jego francuska nazwa „noël", odpowiadająca polskiej kolendzie.

W „Bajkach" wymienia Puszkin trzy nazwiska — Ławrowa, Soca i Gorgolego. Ławrow był dyrektorem departamentu w Ministerstwie Policji, Soc — sekretarzem w Komitecie cenzury, a Gorgoli petersburskim oberpolicmajstrem. Wszyscy trzej zostali przez Puszkina uwiecznieni. Z zagranicy powrócił Aleksander pod koniec grudnia 1818 roku, a powrót jego uczcił Puszkin jednym z najzjadliwszych swoich utworów, który cieszył się w Rosji ogromną popularnością. „Bajki" nie były dotychczas tłumaczone na język polski.

Marian Toporowski

Ich krew nie poszła na marne

Karol Grünberg. Zagłębie Ruhry płonie. Przełożyły M. Wolczacka i J. Marecka. Okładkę projektował Marek Rudnicki. „Książka i Wiedza", 1952, str. 320 i 4 nlb. Wstępem opatrzył Marceli Ranicki.

O życiu i drodze twórczej Karola Grünberga, jednego z czołowych pisarzy Niemiec demokratycznych, pisaliśmy niedawno obszernie, z okazji wydania w przekładzie polskim tomu jego opowiadań — „Zaczęło się w Edenie" (p. „Nowa Kultura" nr 40 art. M. Ranickiego). Przypomnimy tu pokrótce:

Grünberg jest pisarzem, związanym ściśle i aktywnie z ideologią walki rewolucyjnej proletariatu niemieckiego. Od r. 1920 należy do partii komunistycznej; pracuje m. in. jako publicysta w wydawnictwach partyjnych. Okres rządów hitleryzmu przebył w kraju; nie ominął go obóz koncentracyjny, skąd wyszedł niezałamany na duchu i gotów do dalszej walki. Podjął ją i prowadził jako redaktor podziemnej prasy antyfaszystowskiej. Po wyzwoleniu Niemiec Grünberg poświęcił się całkowicie działalności literackiej.

Powieść „Zagłębie Ruhry płonie" powstała w r. 1927. O jej genezie tak pisze autor w związku z drugim wydaniem tego dzieła: „...Nie kierowałem się zupełnie ambicją pisarską; chodziło mi przede wszystkim o to, by zebrać i ustalić materiał rewolucyjno - historyczny i wraz z wynikającym zeń doświadczeniem przekazać go tym, którzy kiedyś po nas przejmą sztandar".

Tematem powieści jest zbrojna walka robotników Ruhry przeciwko zamachowcom Kappa i Lüttwitza, w marcu r. 1920, ukazana na tle ówczesnej sytuacji Republiki Weimarskiej. Zasadniczymi elementami tej sytuacji były: chwiejność, niedołęstwo i oportunizm rządu prawicowych socjal - demokratów, którzy za cenę utrzymania się przy iluzorycznej zresztą władzy, wchodzili w zdradzieckie pakty z burżuazją, nie myśląc nawet o istotnych zmianach ustrojowych i generalnej rozprawie z reakcją; rosnące zuchwalstwo żywiołów nacjonalistycznych i odwetowych, które mając w swych rękach Reichswehrę i tzw. oddziały ochotnicze, wystąpiły dn. 13 marca 1920 r. otwarcie przeciwko rządowi berlińskiemu: bojowa postawa klasy robotniczej, pozbawionej, niestety, jednolitego i silnego kierownictwa, ze względu na istniejące w jej łonie różnice partyjno-ideologiczne i błędy polityczne ówczesnej awangardy komunistycznej.

Lokalizując akcję powieści na terenie jednego z miast Ruhry i jej okolicy — to znaczy na niewielkim wycinku Niemiec — Grünberg potrafił jednak w syntetycznym skrócie odtworzyć całą specyfikę zamachu Kappa, jej socjalno-gospodarcze uwarunkowania i zależności. Obraz środowiska robotniczego jest w powieści Grünberga żywy, realistyczny, daleki od schematu i ogólników. Typowe i reprezentatywne dla tego środowiska postacie, jak komunista Grothe, jednolitofrontowiec — Ruckers, jego córka — Mary i inni, mają wyraźny zarys indywidualny i barwę życiowej prawdy. Z tą samą konsekwencją i rzetelnością pisarską potraktował autor postacie negatywne, z obozu socjal-demokratycznej prawicy (Reese) i „neutralnego" mieszczaństwa (burmistrz Livenkuhl).

Bohaterskie powstanie robotników Ruhry — mimo szeregu cząstkowych sukcesów — skończyło się po dwóch tygodniach walk upadkiem, inaczej bowiem skończyć się wówczas nie mogło. Rząd berliński, opanowany przez ludzi tego pokroju co Scheidemann, Noske, Severing, w pierwszej chwili po wybuchu puczu stchórzył i stracił głowę. Ochłonąwszy jednak nieco z przestrachu — spowodowanego postawą robotników Zagłębia Ruhry i innych okręgów przemysłowych, którzy z bronią w ręku przeciwstawili się reakcyjnym kappowskim zamachowcom — berlińscy ministrowie rozpoczęli pertraktacje. Klika Kappa zrezygnowała z planów przewrotu państwowego, otrzymując w zamian „glejt bezpieczeństwa" i gwarancję bezkarności. Następstwa tego nie-dżentelmeńskiego porozumienia spadły natomiast całym ciężarem na walczących robotników, którzy wydani zostali na łup rozjuszonego żołdactwa Reichswehry, wkraczającej już legalnie do ośrodków robotniczych, w celu „przywrócenia porządku i spokoju". Dla proletariatu Zagłębia Ruhry rozpoczął się okres represji, terroru i okrucieństwa ze strony szalejącej soldateski, którym to „operacjom" z poklaskiem przypatrywała się burżuazja, bezpiecznie ukryta podczas starć z zamachowcami w zaciszu swych pałaców, willi i zasobnych domów.

Powstanie robotników Ruhry to krótkotrwały, lecz ważny fragment walk wyzwoleńczych proletariatu niemieckiego. Powstanie upadło wśród ciężkich ofiar w czerwonych szeregach, lecz wynikające zeń doświadczenie nie poszło na marne; wykorzystała je w dalszych etapach walki „szturmowa brygada" niemieckiej klasy robotniczej — KPD. Stary górnik Ruckers z powieści Grünberga umiera pod kulami białych oprawców z tym głębokim przekonaniem, że śmierć jego pomszczą tysiące i miliony nowych bojowników, którzy odnajdą drogę do ostatecznego zwycięstwa i obalą raz na zawsze ustrój krzywdy i wyzysku.

Powieść Grünberga — niezależnie od walorów ideowo-wychowawczych, jakie posiada, nasuwa pewne uwagi krytyczne, związane z faktem, że jest ona pierwszym dziełem literackim tego autora. Miejscami nadmierne obciążenia materiałem publicystycznym i dyskusyjnym hamują wartki na ogół bieg akcji. Postać jednego z bohaterów — studenta z drobnomieszczańskiej rodziny, Ernesta Sukrowa, cierpi na brak konsekwencji wewnętrznej w działaniu: ten dość naiwny i łatwowierny politycznie młodzieniec, nominalny członek partii socjal-demokratycznej, zbyt nagle przeobraża się w bohaterskiego dowódcę oddziałów robotniczych, obdarzonego pełnią świadomości rewolucyjnej. Przemiana zaskakuje nas tym bardziej, że jeszcze w przeddzień wybuchu powstania Sukrow był niemal gotów wstąpić do tajnej organizacji... reakcyjnej, oczarowany wdziękami jej patronki — córki bogatego fabrykanta. Tę „prawdziwie niemiecką dziewczynę" aspirującą do roli nieustraszonej i przemyślnej walkirii, ucharakteryzował autor na sposób zbyt „demoniczny" i maskaradowy, zacierając to, co mogło być w niej rysem prawdy środowiskowej i osobistej.

Te zastrzeżenia nie umniejszają istotnych wartości „Zagłębia Ruhry", które znalazły sformułowanie w zacytowanej wyżej wypowiedzi autorskiej.

Polski przekład powieści Grünberga, na ogół poprawny, nie odznacza się jednak zaletami stylu literackiego. Jest raczej suchy, bezbarwny. Tu i ówdzie spotykamy się z niedostateczną znajomością realiów politycznych. Tak np. na str. 316 czytamy: „Niezależna Socjal-Demokratyczna Partia przejdzie wkrótce do historii, ponieważ na wiecu partyjnym w Halle większość przyłączy się na pewno do Trzeciej Międzynarodówki"... Tego rodzaju uchwały nie zapadają nigdy na wiecach, lecz na zjazdach czy kongresach partyjnych. Tłumaczowi powieści *par excellence* politycznej te sprawy nie powinny być obce.

Bolesław Dudziński

Dwie książki o Ameryce

Prawda o życiu proletariatu amerykańskiego

„Powitanie wiosny" — tak brzmi pogodny tytuł zbioru opowiadań postępowej autorki amerykańskiej Meridel Le Sueur. Tymczasem już po przeczytaniu kilkunastu stron, pozornie pogodny tytuł okazuje się gorzką ironią.

Pojęcia naszego przeciętnego przedwojennego czytelnika o Ameryce przez długi czas obracały się przeważnie w kręgu zakłamanych legend o kraju prawdziwej demokracji i wolności. Fałszująca rzeczywistość srebrna magia filmów hollywoodzkich z nieodzownym happy-endem, wyczarowywała wizję iście sielankowego życia USA. Ogłupiająca sugestywność tej fabryki złudzeń docierała łatwiej do szerokich rzesz, niż odważne, prawdziwe powieści w rodzaju sławnej „Tragedii amerykańskiej" Teodora Dreisera. O tym, w jakich warunkach żyją i pracują nie wybrańcy losu, owi legendarni milionerzy, ale amerykańska klasa robotnicza, dowiedział się polski czytelnik właściwie dopiero po II wojnie światowej, kiedy udostępniono mu w przekładach utwory Howarda Fasta, Alberta Maltza — do niedawna więzionych w amerykańskim obozie koncentracyjnym, A. Halpera, R. Mende, A. Saxtona, którzy z bezkompromisową prawdą odtwarzając ostre konflikty walki klasowej w Ameryce, występują przeciw brutalnemu systemowi wyzysku.

Linię ideowego frontu, tych popularnych już w Polsce pisarzy, kontynuują śmiałe opowiadania Meridel Le Sueur, autorki pochodzącej z południowych Stanów Zjednoczonych. Autorka pisze o sprawach dobrze sobie znanych, przeżytych przez nią, toteż utwory jej posiadają sugestywną wartość dokumentarną.

W szeregu krótkich, bardzo wyrazistych obrazków autorka maluje przerażającą nędzę amerykańskiego proletariatu, tragiczną dolę bezrobotnych, ginących dosłownie z głodu drobnych farmerów, walczących o kęs chleba dla siebie i swych rodzin. Ten objętościowo szczupły tomik opowiadań zawiera jednak przytłaczającą swoim ciężarem oskarżycielskim bolesną prawdę o Ameryce. Wykazuje kryjący się pod blichtrem rzekomej cywilizacji bezmiar nędzy i niesprawiedliwości. Klasyczny przykład — to opowiadanie „Biografia mojej córki" — losy Rhody, jednej z tysiąca młodych dziewcząt proletariackich. Zdolna, ambitna, o chłodzie i głodzie uczy się, kształci — pracując ciężko jako służąca, nocami studiuje. Kosztem ogromnego wysiłku i wyrzeczeń zdobywa wreszcie upragniony dyplom bibliotekarki po to, aby po 14 dniach pracy powiększyć armię bezrobotnych i paść w końcu ofiarą gruźlicy. Dobrodziejstw ustroju kapitalistycznego zazna dopiero kiedy Opieka Społeczna umieści ją w komfortowym sanatorium na krótko przed śmiercią. Z gryzącą ironią podkreśla autorka zakłamaną filantropię tego społeczeństwa, które spokojnie pozwala marnować się tysiącom takich dziewcząt jak Rhoda, skazuje je na śmierć z głodu i wycieńczenia.

Autorka nie ogranicza się jednak do stwierdzenia krzywdy, która spotkała Rhodę — ofiarę pragnienia wiedzy. Nawiązując do jej śmierci z gorzkim wyrzutem powie: „Są miliony takich, które łagodnie, zbyt spokojnie przyjmują wszystko" i domaga się zdecydowanego przeciwstawienia się i walki ze złem, z niesprawiedliwością.

Nie we wszystkich opowiadaniach, których bohaterkami są stale kobiety, poglądy autorki uzyskały równie silny, jasny i przekonywający wyraz. Obok opowiadań doskonale przemyślanych dojrzałych pod względem ideowym i artystycznym jak wzruszające „Powitanie wiosny", jak mocny „Dzisiejszy wieczór jest częścią walki", jak bojowy manifest-wyznanie „Maszerowałam", znajdzie się nieskrystalizowane, tonące w mętnej nastrojowości i oparach bezwyjściowego pesymizmu „Zwiastowanie", czy błaha, niezbyt fortunna historyjka „Dziewczyna". Autorka — posługując się formą zwięzłych, migawkowych opowiadań, których akcja rozgrywa się na przestrzeni kilku godzin, co najwyżej doby — musiała uciec się do pewnych skrótów i uproszczeń psychologicznych. Mimo to potrafiła z wielką siłą ekspresji i pełną na ogół wiarygodnością przeprowadzić i uplastycznić powtarzający się w większości opowiadań zasadniczy motyw przewodni — przemianę wewnętrzną bohaterek. Żona bezrobotnego nędzarza, bierna Leah, chowająca niemowlę w pudle po sucharach, czy uboga farmerka Maria, której dziecko umiera z głodu („Powitanie wiosny") — przeistaczają się w zetknięciu ze współtowarzyszami niedoli, ze zbiorowością i w poczuciu solidarności klasowej dorastają ideowo, włączając się w rytm walki klasowej. Nie wolno być neutralnym — należy i trzeba walczyć — głosi autorka. W świetnym, pełnym subtelnej ironii opowiadaniu „Głodny inteligent" potępia nieżyciowość i utopijność inteligenckiej apolityczności, uosobionej w postaci ukrywającego swą nędzę ambitnego głodomora, bezrobotnego ex-urzędnika. Jakby przeciwstawienie „Głodnego inteligenta" stanowi, zawierające niewątpliwie pewne rysy autobiograficzne, opowiadanie „Maszerowałam", w którym autorka przekonująco przedstawia moment przyłączenia się bohaterki, pochodzącej z inteligencji, do strajkujących robotników i z całym naciskiem podkreśla konieczność związania się jednostki z ogółem, z walczącym proletariatem. Świadomość nieuchronnej rozgrywki między szerokimi rzeszami wyzyskiwanych a ich wyzyskiwaczami, stanowi wspólną ideologiczną podstawę większości opowiadań.

Pomimo konieczności liczenia się z cenzurą, autorka odważnie odsłania bolączki kapitalistycznego porządku społecznego w USA. Piętnuje obłudę „liberalnej" burżuazji, szermującej zwrotami o demokracji i wolności, a gotowej jednocześnie w każdej chwili, jak ów fabrykant Arnold („Pusty wóz"), z bronią, gazami łzawiącymi, z policją pójść przeciw strajkującym robotnikom, domagającym się poprawy swego bytu.

Opowiadania Meridel Le Seuer są dowodem, że w Ameryce Trumana i Eisenhowera niezależnie od terroru i prześladowań, zastęp pisarzy, którzy nie chcą sprzedawać swoich przekonań za 30 srebrników — wciąż rośnie. Autorka „Powitania wiosny" nie wątpi o tym, że jutro przyniesie zwycięstwo tym wszystkim, którzy jak metalowiec John — bohater opowiadania „Zabici w stalowniach", symbol bojowego proletariatu amerykańskiego — walczą i giną za socjalizm. Bo w myśl pięknych słów autorki: „Umierają tylko ci, którzy nie mają w sobie przyszłości".

Erwina Groten-Sonecka

Meridal Le Sueur: Powitanie wiosny. Państwowy Instytut Wydawniczy. Tytuł oryginału: Salute to spring. Przekład autoryzowany Jadwigi Olędzkiej, str. 193.

Hotel czy Ameryka?

Jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że prawda o kraju dawno zapomnianych obywatelskich wolności i postępowych haseł przemawia do nas dzisiaj coraz jaśniejszym i wyrazistszym słowem. Za słowem tym kryje się ciemna panorama władzy kosmopolitycznego kapitału, pogłębiające się różnice klasowe i dojrzewająca zwolna ideologia rewolucyjna. O sprawę odkrycia tej nowej Ameryki XX wieku okresu po II wojnie imperialistycznej, z powodzeniem walczy współczesna literatura piękna. Książka Marii Leitner „Hotel Ameryka" 1) jest nową pozycją na tej linii walki. Książka ta spogląda w oczy amerykańskiej prawdzie nie tylko od strony różnobarwnych reklam Fifth Avenue lub Brodwayu ale i od strony schodów kuchennych. Tak — dosłownie: schodów kuchennych, bo środowisko kolorowej i różnojęzycznej służby hotelowej wybrała autorka za tło fabuły powieściowej.

Omawiany tom ma w sobie coś z filmowego scenariusza. Ambicją pisarki było przedstawienie w zwięzłej, nieledwie dwunastogodzinnej akcji, budzenie się nowego zrozumienia świata w duszy młodej amerykańskiej dziewczyny i posługaczki hotelowej — Shirley O'Brien. Dramat bohaterki jest pełen sensacyjnego wątku. Wybranek jej serca, w rzeczy samej łobuz i szantażysta pierwszej wody, prowadzi podstępną grę o pieniądze z nie lepszym lecz bardzo majętnym i wpływowym ojcem swojej byłej przyjaciółki. Frant natrafił na franta, a ponieważ w warunkach kapitalistycznej „wolności" rację ma zawsze silniejszy — wygrywa bogatszy.

Świetną znajomość środowiska i realiów zużytkowała Leitner dla przekrojowego spojrzenia na reprezentantów „American style of life". Z wyjątkiem jednego rozdziału przez całą książkę śledzimy skomplikowane życie w olbrzymim, bodajże największym hotelu USA. Mała przestrzeń powoduje zagęszczanie się życia i jego spraw do granic nie spotykanych gdzie indziej. To jakby laboratoryjna probówka, w której wywołane sztucznie fizjologiczne procesy pojawiają się, przebiegają i znikają z bardzo dużą ostrością. W pokojach, apartamentach, salonach dziesiątków pięter mieszkają władcy dzisiejszej drugiej półkuli. Dla zaspokojenia wyrafinowanych zachcianek mieszkańców górnych pięter pracuje na dole w dusznych i ciasnych pomieszczeniach „setki żółtych, czarnych i białych rąk. Jakby w „ekranowym" zbliżeniu patrzymy na spocone twarze Włochów-kucharzy, specjalistów od „narodowego" makaronu, na spracowane ręce Chińczyków i Murzynów, na wątłego Niemca-komunistę, Heinricha Klütera. Droga do nakreślonej w epilogu pozycji ideowego przełomu Shirley biegnie w powieści poprzez obraz narastającej walki społecznych i „topograficznych" dołów z kierownictwem hotelowego olbrzyma. W wypadku opisywanego środowiska drobny zda się szczegół, jak zgniłe ziemniaki podane na posiłek „niższemu" personelowi, stają się tą kroplą przelewającą dzban wywołując zorganizowany opór ludzi, żądanie polepszenia warunków pracy i wyżywienia. Sprytne kierownictwo chwyta się wypróbowanych już metod. Odrzucenie żądań mogłoby wywołać strajk, a co za tym idzie unieruchomienie hotelowej machiny, podczas gdy tu droga jest każda minuta. Życie pędzi przed siebie na łeb na szyję i przynosi milionowe zyski. Trzeba tedy godzić się układnie — w słowach — na wszystkie ustępstwa, aby w odpowiednim czasie usunąć „buntowników i prowokatorów, ośmielających się wystąpić w imieniu wyzyskiwanych. Zwolnienie z pracy Shirley jest nie pierwszym i nie ostatnim zwycięstwem cynicznej polityki „góry", ale dla niej samej stanowi wielkie skrócenie drogi dojrzewania ideologicznego.

Hotelowy fragment amerykańskiego życia przedstawiony został z dużą siłą uogólnienia. Krzyżujące się wątki fabularne, bogata galeria postaci, skreślonych trochę pospiesznym ołówkiem reportażysty, ujęte zostały w ramy wartkiej akcji o lekkim posmaku sensacji, która dobrze ukazuje naładowaną dynamitem rzeczywistość współczesnej Ameryki.

Przemysław Bystrzycki

1) Maria Leitner. „Hotel Ameryka", Książka i Wiedza, 1952, str. 167.

NINA GUBRYNOWICZ

Brzydka przeszłość i piękne jutro

O urodzie Paryża pisano wiele. Ósmy cud świata stał się przedmiotem twórczości artystów wszystkich dziedzin sztuki. Są istotnie w Paryżu piękne dzielnice burżuazji, lecz są i takie, które z dala omija spragniony estetycznych wrażeń turysta. Ludzie czerpiący swe dochody z ruchu przyjezdnych mówią o nich cynicznie, że są nieciekawe bo zamieszkałe przez robotników. W pobliżu dworca północnego odrapane ściany czynszowych kamienic straszą brzydotą. Uliczni handlarze zachwalają swój towar w cieniu brudnych zaułków. Nad cuchnącą gardzielą rynsztoków bawią się dzieci. Na śmietnikach podwórzy wałęsają się zgłodniałe psy. A pod asfaltową nawierzchnią miasta — miasta gdzie silna choć niewidoczna granica oddziela dzielnice bogaczy od dzielnic biednych huczy kolej podziemna przerzucająca ustawicznie tłumy ludności w najodleglejsze krańce stolicy. Przez zalepione kurzem okna wagonów migają w pędzie stacje podobne jak krople jesiennego deszczu. Nuży ponura czerń ścian korytarzy, gdzieniegdzie upstrzona krzykliwym akcentem reklamy. Dubonnet, D u b o n n e t! wrzeszczy rozstrzelonym drukiem hałaśliwa reklama znanego we Francji aperitifu. Śmiejąca się krowa (la vache qui rit), reklama francuskiego sera, szczerzy zęby w brzydkim grymasie. Trzaskają z hukiem drzwiczki wagonów. Duszno. Na pobladłych ze znużenia twarzach upał wyciska krople potu. Osławione metro paryskie jest w istocie brzydkie i smutne. Piękna szata stolicy ma swoją wstydliwą podszewkę. Nie jest przypadkiem, że sztuka we Francji zdobi swym wdziękiem tylko niektóre dzielnice. Nie jest przypadkiem, że omija ona ośrodki robotnicze i wnętrze kolei podziemnej przepuszczające ustawicznie masy pracujących. Sztuka w ustroju kapitalistycznym nie jest własnością ludu, lecz zabawką i rozrywką elity. Toteż robotnik paryski nie zna często „pięknego" Paryża, rzadko puszcza się on w podróż do tzw. „beaux quartiers", gdzie wśród panującego luksusu i w atmosferze nie przeznaczonej dla niego sztuki czuje się nieswojo i obco.

O tym jak inaczej może wyglądać stolica w kraju demokracji mogliśmy się przekonać oglądając w styczniu i lutym wystawy poświęcone przebudowie Warszawy. Nowy styl życia w nowym sprawiedliwym ustroju rzeźbi odmiennie oblicze miasta. Wystawy: Projektów rozwiązania Centralnego Placu wraz z jego otoczeniem, oraz planów wnętrz stacji metra to nie tylko dokumenty imponującego szybkiej przebudowy naszej stolicy, lecz również i nowej roli jaką wyznacza sztuce Państwo Ludowe. Już sam projekt wzniesienia w centralnym punkcie miasta Pałacu Kultury i Nauki i podporządkowania temu akcentowi sylwety całego miasta świadczy o znaczeniu i wadze sz uki w nowym ustroju. Silnie wyodrębniony z otaczającej go zabudowy a równocześnie związany z bliższym otoczeniem Plac Centralny, wraz z masywem pałacu staje się najważniejszym elementem nowego miasta. Z innymi jego dzielnicami łączą go rozległe osie widokowe. Perspektywy wycięte w zielonej gęstwinie parków, czynią widoczną sylwetę pałacu z najodleglejszych krańców Warszawy. Łączność serca stolicy z jego otoczeniem podkreśla jeszcze szeroka wstęga Marszałkowskiej przerzuconej między Placem Dzierżyńskiego a Placem Konstytucji. Arterie komunikacyjne kierują zewsząd ruch publiczności w stronę Centralnego Placu, który ze względu na wzniesiony w jego obrębie Pałac Kultury i Nauki będzie ośrodkiem politycznego i kulturalnego życia nowej Warszawy. Ta troska o ułatwienie całemu społeczeństwu uczestniczenia we wszystkich imprezach kulturalnych i artystycznych stolicy wyraża nową społeczną rolę sztuki w Państwie Ludowym. Zrozumienie społecznej funkcji sztuki wobec społeczeństwa każe projektantom wznosić tonące w zieleni dzielnice dla pracujących. Nowa Warszawa nie zna ghett robotniczych ani odrębnych dzielnic dla bogatych i miejskiej biedoty. Obeliski, pomniki, rzeźby zdobią wszystkie dzielnice miasta.

W pięknych alejach Luksemburskiego parku dzieci burżuazji francuskiej puszczają na sadzawkach łódki, ale najmłodsze pokolenie robotników bawi się w niezdrowej atmosferze wilgotnych podwórzy. W Paryżu w punktach największego ruchu nierzadko ciężki autobus staje, by nie skrzywdzić kota, ale nikt z bywalców luksusowych kawiarni śródmieścia nie zatroszczy się o los dziecka-żebraka, na próżno wyciągającego dłonie z prośbą o jałmużnę. W pięknych ogrodach przyszłej Warszawy nad błękitną tafią sadzawek bawić się będą wszystkie dzieci stolicy.

Sztuka ludowa, sztuka demokratyczna zdąża do wszystkich ośrodków gdzie wre i kipi życie. Nie zawahała się ona zatem zejść do podziemi metra. Szare i jednostajne stacje paryskiej kolei będą niedługo historycznym dokumentem epoki, w której sztuka nie należała do ludu. Zwiastunem nowego jutra są przeznaczone dla ludzi pracy, bogato zdobione halle kolei podziemnej w Moskwie. Realizacja marzeń o sztuce towarzyszce człowieka znalazła tu swój pełny wyraz. Ta sama idea natchnęła i naszych artystów. Idea sztuki, której głównym celem jest nie tylko uprzyjemnianie życia ludziom pracy, ale kształtowanie ich świadomości społecznej, uczenie i wychowywanie. Na wystawie projektów wnętrz stacji metra, sztuka zaklęta w kształt rzeźby, mozaiki lub płaskorzeźby przekazuje nowe treści, najwyższe wartości naszego artystycznego dziedzictwa, przypominając tych twórców, którzy swą działalnością przyczynili się do budowy naszej narodowej kultury. W projektach hallu stacji Plac Teatralny mozaikowy fryz lub płaskorzeźby nad wylotami bocznych korytarzy przedstawiają portrety naszych najsławniejszych dramaturgów i aktorów. Na zakończeniu perspektywy ustawiona na tle ściany honorowej kompozycja symbolizuje teatr. Całe reprezentacyjne wnętrze przestronnego hallu przypomina bliskość teatru i jego znaczenia w życiu kulturalnym kraju. W świetle kryształowych lub metalowych żyrandoli i świeczników lśnią kolorowe marmury ścian i posadzek. Błyszczą delikatne złocenia sztukaterii. Znaleźli się i tacy projektanci, którzy nad wnętrzem głównego hallu zawiesili koronkowy ażur ceramicznego sufitu. Pełną falą z góry spływające światło daje złudzenie dziennego. Autorzy projektu, celem zmienienia ponurej atmosfery metra, w trosce o dobro podróżnych sprowadzili słońce pod ziemię. Odrębne w opracowaniu wnętrze stacji Targowa przypomina chwilę wyzwolenia Pragi przez wojska radzieckie i polskie. Braterstwo broni — serdeczna więź przyjaźni łącząca nasze oba narody znalazła swój wyraz w płaskorzeźbach przedstawiających poszczególne etapy walki, gdzie ramię przy ramieniu walczą za wspólną sprawę żołnierze radzieccy i polscy. Wielkie kompozycje zamykające perspektywę hallu symbolizują radość z odniesionego zwycięstwa, w której niejednokrotnie uczestniczą dzieci zawdzięczające wyzwoleniu radosną przyszłość. Jedna z mozaikowych kompozycji wyraża entuzjastyczne powitanie armii wyzwoleńczej przez robotniczą ludność Warszawy. Sztuka zdobiąca wnętrze stacji Targowa mówi nie tylko o sile i mocy Związku Radzieckiego, ale objaśnia głęboki sens zwycięstwa odniesionego w boju ze wspólnym wrogiem o wyzwolenie społeczne mas pracujących. Sztuka nasycona głęboką humanistyczną treścią, sztuka wychodząca na spotkanie człowieka w przestronnych korytarzach kolei podziemnych, witająca go na rogach ulic i placów czyż nie jest bliższa ludowi niż bezduszna i beztreściowa sztuka Zachodu?

Obie wystawy: Projektów rozwiązania Centralnego Placu, i Planów wnętrz kolei podziemnej świadczą o głębokiej przemianie ideologicznej naszych architektów. Mimo pewnych jeszcze niedociągnięć i błędów, jak np. brak doskonałego rozwiązania otoczenia Centralnego Placu, należy ocenić wysiłek twórczy i zdrową tendencję artystów przystosowania nowej sztuki do potrzeb społeczeństwa, zrozumienia jej nowych zadań w Państwie Ludowym. Szkoda, że licznie przez publiczność nawiedzane wystawy spotkały się z niemal całkowitym milczeniem prasy. A przecie właśnie uczciwa i wnikliwa krytyka dopomogłaby twórcom w ich przyszłej pracy. Budujemy nową stolicę. W naszych oczach rosną piękne projekty, radosne wizje przyszłości. Nie należy chyba twórczej pracy architektów polskich pokrywać milczeniem?

Nina Gubrynowicz

„Lalka" Bolesława Prusa na Węgrzech

Poważnym wydarzeniem w dziejach zbliżenia kulturalnego Polski i Węgier jest ukazanie się „Lalki" Bolesława Prusa w przekładzie Istwana Meszarosa (nakład 5.000 egzemplarzy).

Ankieta na temat tej powieści i dyskusja, która odbyła się z inicjatywy przedstawicielstwa władz polskich w Budapeszcie nadała temu wydarzeniu szczególną wagę. Zabierali głos m. in.: pisarze węgierscy Sandor Gergely i Peter Veres, laureaci nagrody Kossutha i Sandor Redeg, parokrotny laureat nagrody Jozsefa Attili oraz prof. Endre Kovacs, wybitny historyk literatury, autor wstępu do „Lalki" w przekładzie węgierskim.

Dyskusja ta interesuje czytelnika polskiego z dwóch względów: daje świadectwo rozwijającej się współpracy kulturalnej i jej perspektyw w krajach demokracji ludowej, rzuca światło na percepcję literatury polskiej za granicą.

Sandor Gergely wspominając niedawne czasy, kiedy szowinizm narodowy, samouwielbienie i nienawiść stanowiły barierę odgradzającą od siebie narody, stwierdził, że zwycięstwo klasy robotniczej i zniesienie ucisku społecznego w krajach demokracji ludowej stworzyło realne warunki dla rozwoju solidarności międzynarodowej mas pracujących i dla wzajemnego poznawania się i współżycia. Peter Veres przypomniał okres, w którym węgierska polityka wydawnicza służyła przede wszystkim kolportowaniu „Bestsellerów" amerykańskich i angielskich, a więc zatruwaniu życia kulturalnego Węgier najgorszymi miazmatami kosmopolityzmu. Przekłady dzieł literackich narodów sąsiadujących z Węgrami, tj. polskiego, czeskiego czy bułgarskiego należały wówczas do rzadkości. Lud węgierski poznawał życie swoich sąsiadów w pieśniach ludowych lub opowiadaniach. Sandor Redeg uzupełnił tę wypowiedź podając, że bohaterowie węgierskiej pieśni ludowej zawsze uchodzą do Polski, chroniąc się przed tyranią i przemocą we własnym kraju. Powstanie Kossutha 1848 roku wiąże się z udziałem gen. Bema i licznych uczestników Polaków. Mimo wzajemnej sympatii łączącej lud polski z węgierskim stwierdzono jednomyślnie małą znajomość literatury polskiej na Węgrzech z wyjątkiem niektórych dzieł A. Mickiewicza i H. Sienkiewicza.

Udostępnienie czytelnikowi węgierskiemu „Lalki" B. Prusa jest wielkim krokiem naprzód w rozwoju wzajemnych stosunków. Sandor Gergely i Peter Veres wypowiadali się nie jako krytycy ale jako czytelnicy powieści. Obaj pisarze trafnie ocenili wartość i znaczenie „Lalki" jako epopei życia Warszawy w drugiej połowie XIX wieku. Węgierskich czytelników zadziwia bogactwo i realizm opisów życia codziennego Warszawy, jej ulic, sklepów i domów. Peter Veres z żalem zauważył, że literatura węgierska nie może poszczycić się podobnym obrazem Budapesztu.

Odmienna dialektyka dziejów Polski i Węgier sprawiła, że czytelnik węgierski ze zdziwieniem zapoznaje się z tak ostrą krytyką arystokracji jaką widzi w „Lalce". Antyfeudalne ostrze tej powieści z trudem toruje sobie drogę w jego świadomości. Peter Veres stwierdził, że literatura węgierska nie zna tak krytycznego obrazu swojej własnej arystokracji.

Uwaga dyskutantów skupiła się przede wszystkim na postaci Rzeckiego i prof. Geista. Zainteresowanie węgierskiego czytelnika postacią Rzeckiego wynika przede wszystkim z faktu jego udziału w powstaniu węgierskim 1848 roku. Bezpośrednim przodkiem Rzeckiego jest według Sandora Gergely „ów Citoyen francuski, co przed stu laty ramię w ramię z robotnikiem francuskim atakował Bastylię". Sandor Gergely uważa postać Rzeckiego za „najlepiej narysowaną", ale ją jednak nie bardzo rozumie.

Najważniejszą przyczyną niezrozumienia postaci Rzeckiego przez węgierskiego czytelnika jest jego kult dla napoleonidów. Dla Węgrów bowiem nigdy Napoleon I nie był symbolem wolności, nigdy nie wyrażał zdobyczy rewolucji francuskiej. Wówczas, kiedy w Polsce entuzjastycznie witano go jako twórcę Księstwa Warszawskiego dającego iluzję niepodległości, na Węgrzech szlachta organizowała przeciwko niemu powstanie, a masy ludowe nie dojrzały do angażowania się po którejkolwiek stronie. Ponieważ orientacja polityczna Rzeckiego wywodzi się z kultu dla Napoleona I-go, całe skomplikowane zagadnienie mitu o napoleonidach wyrosłego na gruncie warunków polskich (był synem napoleońskiego wiarusa) jest trudne do zrozumienia przez obcego czytelnika.

Postać prof. Geista zainteresowała szczególnie Petera Veresa, który dostrzegł w niej usymbolizowanie wiary epoki w potęgę nauk przyrodniczych wyrażającą się w micie technicznych wynalazków. Przypomniał on „Powieść przyszłego wieku", w której autor Maurycy Jokay także mówi o wynalezieniu lekkiego materiału do budowy samolotów. Ucieczka od rzeczywistości do marzeń o cudownych wynalazkach była więc zjawiskiem wspólnym w literaturze węgierskiej i polskiej.

Endre Kovacs, który właśnie świeżo powrócił ze swej podróży po Polsce stwierdził w swej wypowiedzi, że zapoznał się on z pracą prof. J. Kotta o „Lalce" i ze studium H. Markiewicza pt. „Realizm krytyczny w twórczości B. Prusa". W swojej wypowiedzi prof. Kovacs podał krótko treść obu prac jako ostatni wyraz nauki polskiej o Prusie.

Inicjatywę Poselstwa Polskiego w Budapeszcie w sprawie zorganizowania dyskusji o „Lalce" należy pokwitować najżywszym uznaniem. Spopularyzowanie tej powieści, to cenny wkład w sprawę rozszerzenia wiedzy o naszej literaturze na Węgrzech i zbliżenia obu narodów.

J. P.

Ambitny debiut powieściowy

(Dokończenie ze str. 3-ej)

Odrębne zagadnienie wymagające rozpatrzenia stanowi w „Lewantach" problem działalności wroga klasowego. Mechanizm jej został ukazany przejrzyście, jej formy powiązane trafnie z obrazem ideowej walki, toczącej się na stoczni. Wróg nie jest za górami, nie jest tajemniczy ani nieprawdopodobny, raz ma postać „demokratycznego" inżyniera, który wrócił z Zachodu, kiedy indziej ugrzecznionego biurokraty, który mówi długo i mętnie, kryje się też w postaci robotnika, byłego właściciela prywatnego warsztatu remontowego, któremu odebrano szabrowane maszyny. Wróg ten posługuje się ludźmi słabymi, wykolejonymi, chwiejnymi ideowo, wciska się w sam środek wielkiej roboty, nie jest głupi, nie jest naiwny. Drugim osiągnięciem Brauna jest umiejętność pokazania, że walka z wrogiem klasowym — to nie epizod zakończony pomyślnym happy-endem, ale sprawa przewlekła i niezamknięta. Zakończenie książki — podobnie jak w „Zoranym ugorze" Szołochowa — mobilizuje nas do dalszej czujności i dalszych walk. Po inżynierze Wesołowskim pozostał biurokrata Fałowski, wykrętny i nieuchwytny, nic się nie skończyło, walka trwa dalej.

Podkreśliłem już, że Braun z konsekwentnym rozmysłem unika łatwych zakończeń, nie mydli oczu „osiągnięciami" nawet tam, gdzie mógłby sobie na to z łatwością pozwolić. Niezakończone są sprawy życiowe Markowskiego i Leona, nawet dzielnemu Śliwce nie przydziela Braun mieszkania, żeby na papierze nie było łatwiej, niż w życiu. A mimo to, czy też może właśnie dlatego, dzięki tej ambitnej rezygnacji z łatwych rozwiązań, jakże ostro, jakże przejmująco urasta w książce wielka wspólna sprawa, jak głęboko odczuwa się jej głęboki patos, w jak bogaty i wielostronny sposób ją pokazano!

Jeśli są w powieści Brauna błędy, które płyną z pośpiechu, niedoświadczenia, czy też z nadmiaru poruszanych i często nierozwiniętych problemów — to zdecydowanie przerasta je i rekompensuje szeroki i odważny obraz życia, który autor zdołał uchwycić, ideowa pasja, jaką zdołał utwór swój przepoić, czyniąc zeń cenne i skuteczne narzędzie w walce, którą toczymy.

Ryszard Matuszewski

KORESPONDENCJA

GLOSSA DO LASOTY

W związku z artykułem G. Lasoty, zamieszczonym w numerze 8/152 „Nowej Kultury", proszę o wydrukowanie w Waszym piśmie poniższego wyjaśnienia.

Lasota polemizując ze mną nie wspomniał, że mój artykuł pt. „Rok 1952 — rokiem dalszego rozwoju literatury i sztuki polskiej" nie analizował sytuacji w poezji polskiej. Po prostu ograniczyłem się do wyeksponowania najważniejszych wydarzeń kulturalnych ub. roku i krótkiego ich omówienia.

W poezji takim wydarzeniem moim zdaniem był „Poemat o mowie polskiej" Jastruna. Niemniej zgadzam się, że słuszniej byłoby napisać, że tom ten uważam za najcenniejszy, niż za „jedynie cenną pozycję". Ale chyba w artykule tego typu to było jasne.

Aleksander Rowiński

CZYTELNIK

NOWOŚCI — NOWOŚCI

ALMANACH MONIUSZKOWSKI
1872 — 1952
ZBIOR MATERIAŁOW BIO- i BIBLIOGRAFICZNYCH DOTYCZĄCYCH ZYCIA I TWÓRCZOŚCI STANISŁAWA MONIUSZKI
oprac. W. RUDZINSKI i J. PROSNAK
str. 396 — opr. płócienna zł 20,—

SYLWESTER BANAŚ
PRZEBUDZENIE
Opowiadania współczesne z terenu Kielecczyzny.
Debiut prozatorski
str. 380 — zł 14

STEFANIA BĄDKOWSKA
Z FILMEM PRZEZ ŚWIAT
Bogato ilustrowana, popularno-naukowa książka o filmie oświatowym
str. 160 — zł 5,—

FRANCISZEK FENIKOWSKI
PIERŚCIEŃ Z ŁABĘDZIEM
Osnuta na legendzie opowieść dla młodzieży o Janie z Kolna
Ilustr. Andrzej Heidrich
str. 164 — zł 7,—

HALINA RUDNICKA
KOBIETY MÓWIĄ O SOBIE
str. 52 — zł 0,80

EDMUND JAN OSMAŃCZYK
PUBLICYSTYKA W KRAJU BUDUJĄCYM SOCJALIZM
Dyskusja na temat roli, zadań, osiągnięć i braków nowej publicystyki
str. 128 — zł 3,50

TADEUSZ ŁOPALEWSKI
SPRAWIEDLIWI
Powieść historyczna z okresu powstania styczniowego
str. 480 — zł 14,—

HALINA AUDERSKA
ZBIEGOWIE
Sztuka historyczna z XVIII w w 4 aktach
str. 112 — zł 8,60

JERZY LUTOWSKI
DRZWI PANCERNE „B"
Opowieść filmowa o dziejach zatopienia i wydobycia pancernika „Gneisenau"
str. 160 — zł 9,—

LUDWIK HIERONIM MORSTIN
POLACY NIE GĘSI
Sztuka historyczna w 3 aktach z życia Mikołaja Reya
str. 112 — zł 9,00

JAN ZACHARYASIEWICZ
CZŁOWIEK BEZ JUTRA
Powieść postępowego pisarza z drugiej połowy XIX wieku
Wstępem opatrzył Zbigniew Mitzner
str. 378 — zł 9,60

„CZYTELNIK" — K 1720-1

PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ

WSPOMNIENIA PRZEŻYTYCH CHWIL...

Prasa holenderska opisuje następujące autentyczne wydarzenie: Kiedy hordy hitlerowskie zalały Holandię, pewna Holenderka musiała porzucić swój domek, w którym od lat mieszkała. Domek pozostał nieuszkodzony i po wypędzeniu Niemców, właścicielka mogła w nim znowu osiąść.

W roku pańskim 1952 przed bramą stanął samochód. Wysiadł z niego zażywny jegomość z niemniej zażywną damą i dwojgiem dzieci. Zadzwonił. Kiedy mu otworzono, oświadczył, że w tym domu spędził podczas okupacji trzy najpiękniejsze lata swego życia i teraz żonie swej i swym pociechom chciałby pokazać tę oazę swojej szczęśliwości. Bez słowa zatrzaśnięto mu drzwi przed nosem, co „gościa" niesłychanie zdziwiło. Wzruszając ramionami z powodu niezrozumiałej dlań nieuprzejmości Holenderki wrócił wraz z małżonką i dziećmi do stojącego przed domem wytwornego samochodu marki Cadillac.

BRAWO, LA SUISSE!

Nowojorski „Life" zaatakował bardzo ostro Szwajcarię za robienie niezupełnie jego zdaniem czystych interesów z krajami Europy Środkowej i Wschodniej, w stosunku do których zdaniem „Lifu" tacy burżuje jak Szwajcarzy powinni uprawiać absolutny bojkot i ostracyzm. Doprowadziło to Szwajcarów, którzy ponad wszystko stawiają zarobek i interes, do dzikiej furii. Furia ta znalazła swój najjaskrawszy wyraz w prawicowym brukowcu genewskim „La Suisse", który ośmielił się wydrukować co następuje:

„Przeczytawszy to, co napisał „Life" przypomnieliśmy sobie podróże przedsięwzięte do Niemiec bezpośrednio po wojnie. Przypomnieliśmy sobie zniszczone przez bomby amerykańskie Saarbrücken, gdzie pozostały tylko olbrzymie huty żelaza oraz w 85% zrównaną z ziemią Moguncję, w pobliżu której tylko olbrzymie zabudowania zakładów Opla pozostały nietknięte. Pomyśleliśmy o oficerze, który widząc nasze zdumienie i oburzenie powiedział: przecież to kapitał amerykański."

PRZYNAJMNIEJ SZCZERZE

Sztokholmska „Svenska Tagbladet" wydrukowała z okazji rocznicy śmierci fińskiego generała faszystowskiego Mannerheima, obszerny artykuł profesora Torwalda Hojera, w którym znalazły się następujące salomonowe słowa: „Mannerheim nie należał do wielbicieli demokracji. Byłoby to zresztą dziwne u męża stanu o tak wybitnej inteligencji i tak wielkim doświadczeniu..."

NAWET TAKIM W SMAK TO NIE IDZIE...

To, co się od pewnego czasu rozgrywa na Zachodzie w stosunku do różnego typu zbrodniarzy hitlerowskich, wyprowadza z równowagi nawet koła ultrareakcyjne. Reprezentantką tych kół w Szwajcarii jest wychodząca w Bazylei „Nationalzeitung". Na łamach tego organu finansjery szwajcarskiej pojawił się artykulik, z którym warto się zapoznać. Oto jego treść:

„W roku 1943 aresztowano w Bazylei pewnego Niemca nazwiskiem dr Heinrichs, który przybył do Szwajcarii, rzekomo jako kupiec-eksporter, a w rzeczywistości był wysłany przez Canarisa, szefa wywiadu hitlerowskiego, dla „zorientowania się" w szwajcarskim przemyśle zbrojeniowym. W roku 1944 sąd szwajcarski skazał szpiega Heinrichsa na dożywotnie więzienie. W roku 1947 zamieniono mu tę karę na 12 lat więzienia, a jesienią roku bieżącego rząd szwajcarski pozwolił mu przedterminowo wrócić do domu. Stało się to pod presją prasy Niemiec zachodnich, która podniosła wielki gwałt, że mama doktora Heinrichsa jest umierająca, jakże więc można odmawiać staruszce ostatniego widzenia się z ukochanym synem".

Po odesłaniu dra Heinrichsa do Niemiec w prasie zachodnio-niemieckiej pojawiły się zachwyty na temat szwajcarskiego humanitaryzmu, z którego świat powinien brać przykład. O tym, że Heinrichs był hitlerowskim agentem i szpiegiem, nie wspomniał nikt — nie wyłączając socjaldemokratycznej prasy zachodnich Niemiec — ani słowem.

Za to — kończy „Nationalzeitung" — wypuszczony przez nas przedterminowo agent-prowokator został entuzjastycznie powitany przez przedstawiciela ministerstwa spraw zagranicznych w Bonn, który na cześć jego powrotu wydał małe przyjęcie. Nie można się temu zresztą dziwić, bo przecież powszechnie wiadomo, że wysokie i odpowiedzialne stanowisko w tym urzędzie, któremu patronuje kanclerz Adenauer, zajmuje człowiek, który w czasie wojny robił w Szwajcarii to samo, za co przesiedział się dr Heinrichs.

ŻAŁOSNE PRÓBY ZMIANY BRUNATNEJ SKÓRY

Za panowania Adolfa Hitlera, niejaki Herr Fechter wydał w roku 1941 gruby tom historii literatury niemieckiej, oczywiście podlany i przyprawiony arcyhitlerowskim sosem.

Skończył się Adolf, ale pozostał Herr Fechter. Brunatny historyk literatury osiadł w Westfalii i w mieście Gutersloh został lektorem jednego z wydawnictw. Po jakimś czasie, zorientowawszy się, jaki wiatr wieje w Niemczech pana Adenauera, nasz lektor przypomniał sobie swoją historię literatury z roku pańskiego 1941. No i historia ta wyszła niedawno w Niemczech zachodnich. Pan lektor dokonał tylko pewnych korektur.

Odpadł więc wstęp do historii literatury wydanej w roku 1941, którego brzmienie było następujące: „Książką, która stała się podstawą literatury przemawiającej do zbiorowej duszy narodu jest wielka spowiedź Adolfa Hitlera „Mein Kampf". Powoli rosnącym krokiem płyną w niej zdania, lśnią jak pochodnie, maszerują poza papierem i drukiem". Słowa powyższe znalazły się w nowej literaturze pana Fechtera, również poza papierem i drukiem. — Nie ma również zdań Fechtera z roku 1941 na temat sporu o sierżanta Griszę Arnolda Zweiga, które brzmiały w roku 1941: „Jest to najhaniebniejsza książka w fatalny, zbrodniczy sposób ukazująca światu niemiecką armię". Słowa te zastąpił Fechter w roku 1952 stwierdzeniem następującym: „Arnold Zweig jest świadkiem koronnym moralnych wartości prusactwa."

Tego, że Arnold Zweig w swoim „Griszy" stał się świadkiem koronnym potworności prusko-niemieckiej machiny państwowej i mechanizmu wojny imperialistycznej, nasz pan Fechter wydusić ze siebie nie potrafi. Potrafił za to nawet w nowej wersji swej historii literatury znaleźć słowa najwyższego uznania dla takich literackich pretorianów Hitlera i hitleryzmu jak Blunck i Dwinger.

WIEŻA PRZESTRASZONYCH

Londyńska „Daily Mail" poświęca jeden ze swych artykułów sekretariatowi ONZ, który nazywa „wieżą ludzi gniewnych, zawiedzionych i zastraszonych". Członkowie sekretariatu ONZ — pisze Daily Mail — w ilości 3.000 osób mówią z goryczą o intruzach z komisji Mc Carrana, którzy ośmielają się, jak gdyby byli u siebie w domu, tropić komunistów w instytucji międzynarodowej i nadnarodowej.

Zdaniem „Daily Mail" co najmniej jedna trzecia nowojorskiego zespołu ONZ mogłaby być usunięta bez szkody dla wydajności pracy. Twórca tej gigantycznej biurokracji Trygve Lie nie był zdaniem dziennika angielskiego nigdy zbyt popularny. Przede wszystkim ze względu na fantastyczne pobory: dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie plus dwadzieścia tysięcy jako zwrot kosztów i piętnaście tysięcy jako dodatek mieszkaniowy. Przeciętna skromna pensja w ONZ wynosi 5.000 dolarów rocznie. Tłumacze zarabiają po 8.000 dolarów. Całe to towarzystwo dzięki przywilejom dyplomatycznym nie płaci podatków i zwolnione jest od olbrzymich opłat celnych za tytoń i alkohol, którym też handluje, gdzie i jak się da.

PRUSAK NAJBARDZIEJ PRUSKI

Pisanie nekrologów daje często okazję do powiedzenia czegoś, co pozornie wygląda na naiwność czy głupotę, a w gruncie rzeczy kryje w sobie treść głębszą i istotniejszą. Kiedy umarł angielski minister skarbu Cripps, zuryska „Die Tat" napisała we wspomnieniu pośmiertnym, że był on typem socjalisty-arystokraty. Po śmierci Schumachera ta sama „Die Tat" daje taką charakterystykę zaciekłego wroga naszej granicy nad Odrą i Nysą: „Był Prusakiem najbardziej pruskim spośród ludzi, którzy kiedykolwiek stali na czele socjaldemokracji niemieckiej. Jako kapitan rezerwy, poszedł na pierwszą wojnę światową, w której oddał państwu wielkie usługi, gdyż był doskonałym znawcą zagadnień wojskowych i strategicznych. W okresie weimarskim należał do prawicy socjalistycznej, zwalczając zaciekle lewicę oraz komunistów. Schumacher wyżywał się w negacji, dzięki czemu ten polityk, któremu przypadł los Odyseusza, skazał się sam tylko i wyłącznie na rolę Tersytesa.

(fr.)

Z PRASY

O „Przyjaciółce"

„TAJEMNICA" NAKŁADU — 1.000 LISTÓW DZIENNIE — SPRAWY WIELKIE I MAŁE — ZA MAŁO O SZKOLE I WSI — GDZIE JESTEŚCIE, LITERACI?

2.197.265 egzemplarzy... Jaką tajemnicę posiada pismo, osiągające taką liczbę nakładu? „Przyjaciółka" kobiet... Co powoduje, że co tydzień pochylają się nad nim miliony głów — jasnych i ciemnych, kokieteryjnie zaondulowanych i prostych — całkiem siwych? Że sięgają po nie ręce i te zniszczone pracą, zgrubiałe, i te delikatne, o wylakierowanych na czerwono paznokciach? Co trzeba uczynić, aby zdobyć taką popularność, aby dotrzeć do najdalszych zakątków kraju, do izb, w których rzadkim gościem jest gazeta, jeszcze rzadszym książka? Czym się tłumaczą dziesiątki tysięcy listów, napływających do redakcji, próśb o radę w sprawach tak niesłychanie różnorodnych?

Odpowiedź kryje się w krótkiej, trafnej nazwie pisma. „Przyjaciółka" tchnie głęboką życzliwością do swych czytelniczek, serdeczną troską o wszystkie ich sprawy. Nie ustosunkowuje się drwiąco do małych zmartwień, nie lekceważy codziennych ludzkich kłopotów, niepokojów, powikłań życiowych. Poważnie traktuje i te listy (jakże ich wiele!), które zaczynają się od słów „Mam lat siedemnaście"... i te, w których kobieta blisko pięćdziesięcioletnia zapytuje, do jakiej pracy mogłaby się wziąć. I te, które zapytują o przepis na wywabianie plam z jedwabnej sukienki i te, które opisują trudności wychowawcze z dziećmi, żalą się na postępowanie narzeczonego, i te, które traktują o trudnej drodze racjonalizatorki, przodownicy pracy.

Każde czasopismo czytane jest w pewien specjalny sposób. Od pierwszej, albo od ostatniej strony, od „Małego życia" czy też od „Aktualności z myszką". Sądzę, że „Przyjaciółka" otwierana jest przede wszystkim na stronie z rubryką „Czytelnicy piszą — Przyjaciółka odpowiada". Ten dział zaczyna się zazwyczaj od listów z najbardziej osobistymi troskami. Od sprawy zamążpójścia, nieporozumień małżeńskich, zagadnienia stosunku ojca do dziecka. Dalej następują porady lekarza, porady prawne, rady w sprawach gospodarstwa domowego. Najbardziej codzienne sprawy — historie, które przeżywają zarówno przodownice pracy i nauki, jak dziewczęta i kobiety, które nie wyjrzały jeszcze poza krąg swego rodzinnego domu.

Ale pismo dotarło, rubryka pytań i odpowiedzi została przeczytana i ręce dalej przerzucają kartki „Przyjaciółki". Czytelniczka znajdzie na nich zawsze parę opowiadań. Wyjątki ze starej, klasycznej literatury polskiej i obcej. Konopnicka, Orzeszkowa, Wiktor Hugo. Opowiadanie współczesne — z życia kobiet w Polsce Ludowej, w Ludowych Węgrzech, Czechosłowacji, Rumunii. Fragment powieści lub nowelę pisarzy radzieckich. Krótką humoreskę. Opowieść filmową — na tle przesuwających się przez nasze ekrany filmów, rzadziej (czy nie za rzadko?) teatrów. I wreszcie artykuł stojący na pograniczu beletrystyki i publicystyki pod ogólnym tytułem „Radości i smutki" — nasze osiągnięcia i niedociągnięcia.

A ten pociągający tekst przeplatany jest na każdej niemal stronie wiadomościami aktualnymi — mały artykuł wstępny, dotyczący najważniejszych wydarzeń dnia, rocznic, zjazdów, wielkich faktów politycznych. Informacje o pracy kobiet na budowach socjalizmu. Kobiety hutniczki, rdzeniarki, kobiety w dziesiątkach nowych zawodów walczą w swoich zakładach pracy o przodownictwo, walczą z brakoróbstwem i bumelanctwem, ulepszają metody pracy, walczą o oszczędność materiału.

I mały artykulik „Poznajemy świat" — o nowych zdobyczach nauki, o walce człowieka z przyrodą. I rubryka „Chcę wiedzieć co słychać na świecie" — przegląd wydarzeń za granicą. Korea, Chiny. I wojna świata imperialistycznego. I Niemcy Zachodnie, Stany Zjednoczone Ameryki, i strajki we Włoszech. I znów sprawy drobne, codzienne, osobiste: interwencje w sprawach mieszkaniowych, interwencje dotyczące umów o pracę, informacje o szkołach, porady wychowawcze, moda, krój, roboty ręczne.

Człowiek, dla którego prasa codzienna stała się już codzienną potrzebą nie zdaje sobie częstokroć sprawy, jak wielu ludzi w naszym kraju nie czytało — nie czytuje jeszcze gazet, jak bardzo pochłania kobietę jej dom, jej troski osobiste, jak daleko od niej leżą sprawy ogółu, sprawy państwa. Długa i trudna jest droga wiodąca do zainteresowań ogólnych — horyzont rozszerza się powoli — przez wzrok, przez uczucie, przez wspólnotę z tymi milionami czytelniczek tego samego pisma. Budzi się ciekawość życia, budzi się zamiłowanie do czytania — do książki, do powieści. „Przyjaciółka" ułatwia wielu kobietom drogę w tym trudnym, mozolnym okresie. Cierpliwie, różnorodną, bogatą treścią prowadzi swoje czytelniczki — od małych rzeczy do wielkich, od zamkniętego kręgu spraw osobistych do szerokiego świata, tworzonego własnymi rękami.

Ważna jest rola tego pisma, wielka też ciąży na nim odpowiedzialność.

Nie wiem, jak kształtuje się pod względem wieku i środowiska korespondentek statystyka tego tysiąca listów, napływających dziennie do redakcji „Przyjaciółki". Uderza w nich jednak duża liczba rozpoczynająca się dosłownie niemal tak: „Mam siedemnaście lat"... Zagadnieniom młodzieży poświęca „Przyjaciółka" dużo miejsca. Czy nie za mało jednak, jeżeli chodzi o rozwinięcie przed czytelniczkami szerokiego wachlarza szkół? Czy szkołom — przemysłowym, wieczorowym, uzupełniającym — nie powinno być poświęcone nieco więcej miejsca? Wśród obrazów przedstawiających zakłady pracy i życie kobiety pracującej — obrazów, może czasem zbyt optymistycznie, zbyt różowymi farbami malowanych — obraz sali szkolnej, do której można trafić w wieku znacznie nawet starszym niż te „siedemnaście lat" — stanowiłby ważne dopełnienie.

Około miliona prenumeratorów „Przyjaciółki" rekrutuje się ze wsi. Liczba czytelników — a raczej czytelniczek wiejskich jest z pewnością znacznie większa. Jeżeli dodamy do tego czytelniczki w miastach, pochodzące ze wsi — musimy stwierdzić, że w stosunku do cyfry, która wypadnie, redakcja zbyt mało chyba poświęca uwagi zagadnieniom wsi, poruszanym na łamach pisma. Uderza to mocniej jeszcze w świetle szerokiej, mądrej akcji szkolenia, współpracy, żywego kontaktu z korespondentami. Dla przeciętnego czytelnika, biorącego przypadkowo pismo do ręki będzie to przede wszystkim pismo miejskie, informujące o życiu wsi w miarę wydarzeń ogólnokrajowych (siódme plenum, zjazd spółdzielni produkcyjnych). Wydaje mi się, że zagadnienie pracy kobiety na wsi, zagadnienia hodowli, udoskonaleń w rolnictwie, ułatwienia tej pracy przez maszyny — byłoby tu bardzo potrzebne — zwłaszcza podane w rozsądny, wypróbowany przez redakcję sposób — z pozostawieniem ostatecznego wniosku do wyciągnięcia przez czytelnika.

Wśród autorów współczesnych nowel i opowiadań, drukowanych w „Przyjaciółce" — brakuje nazwisk literackich — bynajmniej już nie z winy redakcji, która podejmowała wiele prób nawiązania kontaktu. Ale literaci bądź nie doceniają wielkiej roli społecznej tego pisma, bądź nie umieją dostosować sposobu pisania do tonu „Przyjaciółki", do jej łatwej, przystępnej i zajmującej narracji. A dotarcie do tak masowego czytelnika, chłonnego i spragnionego — jest chyba czymś, co może stać się przedmiotem ambicji pisarskiej. Trzeba tylko podejść do tego zagadnienia bez pobłażliwego uśmiechu. Zrozumieć o co tu chodzi.

Zrozumieć o co tu chodzi — to czasem klucz do zrozumienia całej głębi przemian, zachodzących w ludziach pod wpływem przekształcania się warunków gospodarczych i politycznych w naszym kraju. To rzecz, nad którą warto się zastanowić.

Janina Dziarnowska

ZBIGNIEW WILSKI

Książka o generale Hauke-Bosaku

W ostatnich latach ukazało się szereg publikacji poświęconych wybitnym, a przez historiografię burżuazyjną zapomnianym lub przemilczanym działaczom demokratycznym XIX wieku. Zbliżono dzisiejszemu czytelnikowi postacie Walerego Wróblewskiego, Henryka Kamieńskiego i wielu innych. „Szabla i pióro" Jerzego Płażewskiego*) dołącza do tego szeregu „obywatela Bosaka", tak bowiem podpisywał się przez większą część życia hrabia Józef Hauke, generał z okresu powstania styczniowego. A postać ta warta wydobycia z mroków.

Mimo wychowania w petersburskim Korpusie Paziów, które miało wychować go na posłusznego wykonawcę rozkazów carskiego despotyzmu, poszedł on zupełnie inną drogą. Dzięki jego działalności jeszcze w lutym 1864 roku, kiedy w innych dzielnicach Polski zamierało powstanie, w Kielecczyźnie utrzymywał się na szerszą skalę ruch powstańczy. Dotychczasowi historycy podkreślali zasługi generała Bosaka na tym polu, nie wskazując jednak, jaką drogą i dlaczego osiągnął on swe sukcesy. Płażewski natomiast opierając się na dokumentach i tekstach jego rozkazów stara się wykazać, że osiągnięcia te zawdzięczał on przede wszystkim staraniu, by w drodze posunięć administracyjnych i odezw przyciągnąć do powstania masy chłopskie. Na nich opierał się, występując jednocześnie ostro przeciwko stanowisku reakcyjnej szlachty. Działalność jego zgodna była z polityką lewicy czerwonych i Traugutta, który w końcowym okresie powstania zbliżył się wyraźnie do rewolucjonistów.

Jeszcze bardziej może cenna jest dokonana przez autora „Szabli i pióra" próba interpretacji działalności Haukego na emigracji, który to okres w dotychczasowych jego życiorysach pomijano milczeniem i zbywano ogólnikami. Płażewski pokazuje go w tym okresie jako człowieka stojącego zdecydowanie na stanowisku rewolucyjnego demokratyzmu. Świadczą o tym bliskie kontakty, w jakich pozostawał on z Jarosławem Dąbrowskim i Walerym Wróblewskim oraz z działaczem robotniczym Mroczkowskim. Jeszcze wyraźniej świadczy o tym jego działalność publicystyczna. Bosak nie ograniczał się bowiem do postulowania powszechnego prawa wyborczego, równości wobec prawa itd. Broszura „Do braci Polaków", której był współautorem, domagała się wyraźnie oddania ziemi jako własności ludu polskiego pod zarząd i nadzór państwa.

Pokazuje też Płażewski, że Bosak w pełni zdawał sobie sprawę, iż wyzwolenie Polski dokonać się może tylko drogą ogólnoludowej rewolucji o demokratycznym programie społecznym w oparciu o sojusz z międzynarodowymi masami rewolucyjnymi. Przekonania te potwierdzał on aktywnym udziałem w międzynarodowych organizacjach demokratycznych, a wreszcie śmiercią pod Dijon w obronie Republiki Francuskiej przed inwazją pruską. Pod koniec życia potrafił nawet nawiązać bliskie stosunki z robotnikami szwajcarskimi i zdobyć sobie ich zaufanie. Napisał też przeznaczoną dla proletariatu broszurę „Strajk", w której wysuwał koncepcję strajku powszechnego na gruncie walki o zmniejszenie ilości godzin pracy.

Autor polemizując z burżuazyjną interpretacją postaci Haukego popadł chyba jednak w drugą ostateczność nie dostrzegając występujących w jego programie ograniczeń ideowych. Dowodzi tego zbytnie zaufanie, jakim obdarzał on szlachtę polską. Twierdził, że bez oparcia o rząd zaborczy nie mogłaby ona ani nie chciała utrzymywać poddaństwa. Trzeba więc tylko znieść ucisk caratu, a wtedy Polacy sami dobrowolnie pogodzą się ze sobą i szlachta zrzeknie się swych przywilejów.

Celem autora — jak pisze we wstępie — było przypomnieć czytelnikowi postać Hauke-Bosaka przed pojawieniem się źródłowej monografii. Zgodnie z tym założeniem Płażewski stara się możliwie ściśle trzymać dostępnych mu źródeł nie upiększając życiorysu generała fikcyjnymi uzupełnieniami. Korzysta natomiast na ogół z powodzeniem z przysługującego mu prawa udramatyzowania pewnych momentów akcji, zwiększając tą drogą zainteresowanie czytelnika i zbliżając do niego postać bohatera.

Czasem tylko, szczególnie w opisie emigracyjnego etapu życia Haukego, autor niepotrzebnie stara się w niektórych scenach wywołać nastrój zbyt podniosły nadając im ton niemal panegiryku.

Umiejętnie natomiast wmontowuje Płażewski w akcję utworu szereg autentycznych listów i dokumentów podnosząc w ten sposób wartość historyczną książki. Jedynie zastrzeżenia budzą teksty podawane w cudzysłowie, których autor nie cytuje dosłownie pozwalając sobie na pewne dowolności.

Tło historyczne nakreślone jest na ogół słusznie, ale bardzo skrótowo, co powoduje pewne uproszczenia.

Zbigniew Wilski

*) Jerzy Płażewski „Szabla i pióro" — Wyd. MON. 1952, str. 308 i 4 nlb.

Więcej dbałości o redakcyjną stronę tłumaczeń

Sprawa tłumaczeń z języków obcych niejednokrotnie była już przedmiotem rozważań w kołach literackich. Zwłaszcza przy przekładach z mniej znanych języków czy w stosunku do terenów mniej znanych panuje obyczaj niedbałości tłumaczeń i redakcyjnych objaśnień. Nie rozwodząc się dalej nad tym zagadnieniem podam tylko parę najjaskrawszych przykładów:

G. Illesa „Rapsodia Karpacka" (wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1951), węgierska powieść, przełożona została z języka rosyjskiego. Nie o to chodzi, nieraz bowiem lepszy jest dobry przekład pośredni z rosyjskiego, niż kiepski bezpośrednio z węgierskiego. Ale niestety oprócz znajomości języka trzeba znać coś więcej. Tłumacz znał język rosyjski, a nie znał Węgier. Co z tego wyszło, podam na podstawie paru przykładów:

Strona 220 i 420: tłumacz podaje, że Budapeszt, będący w ręku czerwonych, był w r. 1919 ostrzeliwany przez „pancerniki białych". Z nietajonym zdumieniem, skąd kontrrewolucja zdobyła się w r. 1919 na pancerniki na modrych wodach Dunaju, sięgnąłem do oryginału węgierskiego. Nie znalazłem tam żadnych pancerników, ale skromne *monitory*, które są małymi opancerzonymi jednostkami flotylli rzecznej. Skąd tłumacz wziął te pancerniki? Nie wiem, jak jest w tłumaczeniu rosyjskim, ale sądzę, że przy większym wysiłku ze strony tłumacza (A. Jackowskiego), przy większej staranności redakcji, nie dopuszczono by tych pancerników do czerwonego Budapesztu.

Na str. 258 tegoż tłumaczenia mowa jest o tym, że chłopi z Zakarpacia spławiali drzewo „do Rawniny". Zaciekawiony, co to jest ta „Rawnina" zajrzałem do oryginału. Znajduje się tam wyraźnie „Alföld". Wiadomo powszechnie, że „Alföld" to Wielka Równina Węgierska. Tłumacz wziął rosyjskie wyrażenie „Rawnina" (Równina) i tak podał to dosłownie w języku polskim, ignorując zupełnie geografię, a niezbyt uważny redaktor nie zainteresował się nawet, czy jakaś „Rawnina" naprawdę istnieje.

Wreszcie na str. 584 mówi bohater o sobie z okazji aresztowania go przez władze czeskie ok. r. 1919: „ponieważ jestem Żydem i Węgrem, a więc obiektem bardzo odpowiednim dla stworzenia nastrojów programowych". Nie bardzo to zdanie zrozumiałem, nie bardzo przemawiały do mnie te „nastroje programowe". Znów pomocnym mi był oryginał węgierski. Co tam znajdujemy? Nie żadne nastroje „programowe", ale „pogromowe". Czy dla tłumacza to wszystko jedno? Bo dla czytelnika nie.

A teraz też coś z sąsiedniego terenu węgierskiego: powieść A. Seghers „Towarzysze" (Warszawa 1950). Powieść tłumaczona z oryginału niemieckiego, ale dzieje się częściowo na Węgrzech. Czytam objaśnienia i przecieram oczy. Na str. 30 do terminu „Burgenland" objaśnienie: „Kraj Czterech Grodów nad jeziorem Neusiedel w Słowacji". Skąd jezioro Neusiedel znalazło się w Słowacji? Co to za objaśnienie, że Burgenland „jest" krajem czterech grodów"? Otóż w rzeczywistości Burgenland jest to kraj na pograniczu Austrii i Węgier, którego część przeszła w r. 1921 spod panowania Węgier pod Austrię i stała się terenem działań rewizjonistycznych bojówek, o czym wydawnictwo nie umiało objaśnić czytelnika.

Na stronie 11 tejże książki znajduje się objaśnienie: „Węgierska Republika Rad — utworzona po I wojnie światowej w r. 1918". Nieściśle. Po I wojnie światowej w r. 1918 utworzona została na Węgrzech republika burżuazyjna z udziałem elementów mieszczańskich i dopiero po zagrożeniu Węgier przez imperialistów zachodnich i stojącej na ich usługach burżuazji czeskiej i rumuńskiej, proletariat uchwycił w r. 1919 (a nie 1918) władzę w swe ręce, proklamował Republikę Rad i podjął się obrony kraju przed groźbą interwencji.

Do jakich absurdów prowadzi bezmyślne przekładanie bez znajomości terminów spotykanych w tłumaczeniu, dowodzi tego świeżo wydany przekład radzieckiej książki I. Wasiljewa „Neutralność Turcji w drugiej wojnie światowej", Waszawa, „Czytelnik" 1952. W książce licznie przytaczane są nazwy, nazwiska, tytuły tureckie. Wiemy, że język rosyjski nazwy te transkrybuje fonetycznie. Ponieważ Turcja używa obecnie alfabetu łacińskiego, należało nazwy te albo utrzymać w ich pisowni tureckiej, albo w najgorszym razie dobrze podać je w pisowni fonetycznej polskiej. Ale tłumacz i redaktor utrzymali jakiś własny system. A więc częściowo przyjmują polską pisownię fonetyczną (Memenedżoglu, Saradżoglu), ale błędną (winno być Menenedżoglu, Saradżoglu), częściowo zaś przyjmują pisownię fonetyczną angielsko - francuską (np. Subkhi, winno być Subchi, Yaltchin, winno być Jałczyn, o ile nie ma być stosowana turecka pisownia Subhi, Yalçin). Francusko - angielska pisownia nie ma tu już chyba najmniejszego sensu.

Na str. 90 znajdujemy wzmiankę, że „gazeta Lia Turki oświadczyła"... Oczywiście w wydaniu rosyjskim jest brzmienie odpowiadające „Lia Turki", ale trzeba choć ogólnie się orientować w tureckim zagadnieniach współczesnych aby wiedzieć, że rosyjska transkrypcja odpowiada wydawanej w Turcji po francusku rządowej gazecie „La Turquie". Niezorientowany tłumacz tego nie wiedział, a mało staranny redaktor przepuścił. Czy naprawdę trudno było znaleźć w Polsce kogoś, kto by objaśnił, jak brzmią tytuły dzienników tureckich? Jeśli dodamy do tego, że część tytułów tureckich pism podana jest w brzmieniu fonetycznym rosyjskim (Sabach zamiast Sabah), a część w pisowni oryginalnej tureckiej (Cumhurriyet), że niektóre nazwy w ogóle są w jakiejś zupełnie już dla nas niezrozumiałej postaci, np. na str. 18 nie wiem, czy by kto się domyślił, że Hendże to jest Gandża w Azerbejdżanie (nb. dziś Kirowabad) — a będziemy mieli obraz zupełnego niechlujstwa tego przekładu.

„Literaturnaja Gazeta" doniosła niedawno (w numerze z 23 września 1952), że w ZSRR zorganizowane zostaną w najbliższym czasie specjalne kursy dla tłumaczy z literatur bratnich republik. Uczestnicy kursu w ciągu 5 miesięcy oprócz codziennych zajęć językowych mają mieć wykłady z historii, historii kultury, literatury i geografii ekonomicznej danych narodów. Na konferencji sekcji tłumaczy Związku Literatów podkreślono, że te kursy to tylko „jedno ogniwo w łańcuchu środków niezbędnych do ulepszenia pracy tłumacza w naszym kraju". Musi być stworzony poza tym m. in. wydział tłumaczeń i katedry przekładu artystycznego w Instytucie Literatury im. Gorkiego i wprowadzenie języków bratnich narodów na wydziałach filologicznych uniwersytetów radzieckich.

Doświadczenie radzieckie winno być przykładem dla naszej pracy. Nie wystarczy powierzchowna znajomość potocznego języka; taka znajomość może być skuteczniej spożytkowana dla celów handlowych czy innych, tak obecnie potrzebnych. Przy tłumaczeniach literackich musi być porzucona metoda partyzantki, musi być zlikwidowane kompromitujące niechlujstwo i nieuctwo, musi być wprowadzona należyta kontrola nie tylko języka, ale i treści faktycznej, nazw, pojęć, terminów itp.

Jan Reychman

U PRZYJACIÓŁ

ZMARŁ SIEMION GUDZENKO

15 lutego br. zmarł jeden z najwybitniejszych poetów radzieckich młodego pokolenia, Siemion Gudzenko (ur. 1922 r.)

Wychowanek Komsomołu, partyzant, pracownik gazety frontowej — na froncie też zaczął pisać swoje pierwsze wiersze. Po wojnie opiewał pokojowy trud swojej Ojczyzny i jako korespondent „Komsomolskiej Prawdy" oraz „Litieraturnoj Gaziety" objeździł cały kraj — od Rusi Zakarpackiej do Tuwy.

Najbardziej znanym jego utworem jest poemat „Daleki garnizon" na temat Armii Radzieckiej, ochraniającej pokojową pracę ludzi radzieckich oraz zbiory wierszy „Towarzysze bojowi" („Odnopołczanie"), „Po marszu", „Wiersze Zakarpackie".

Odszedł w pełnym rozkwicie sił twórczych.

T. Ż.

ODZNACZENIE ZDENKA NEJEDLEGO ORDEREM LENINA

Członek Czechosłowackiej Akademii Nauk Zdenek Nejedly w związku z 70-leciem urodzin odznaczony został dnia 9 lutego br. przez Prezydium Rady Najwyższej ZSRR orderem Lenina za wybitne zasługi w dziele umocnienia przyjaźni czechosłowacko-radzieckiej.

t. ż.

NOWA KOMEDIA RADZIECKA

Czasopismo „Nowyj Mir" w n-rze 2 b.r. drukuje komedię S. Narinianiego, pt. „Anonim". Jest to — po „Rakach" i scenariuszu Wirty — dalszy oddźwięk nie tylko dyskusji na temat dramaturgii (szczególnie komedii) w Związku Radzieckim, lecz także próba realizacji zawartych w przemówieniu G. Malenkowa postulatów, stawianych radzieckiej twórczości dramatycznej.

Autor, wprowadzając na scenę oprócz dorosłych także dziewięcioletniego chłopca — pioniera Saszę, z dużym zacięciem satyrycznym charakteryzuje środowisko architektów, budowniczych i projektantów. Komedia jest pomyślana jako spiętrzenie nie tyle śmiesznych sytuacji i charakterów, ile kolizji, wynikających z właściwości charakterów i różnych podstaw kolektywu. Przez cały ciąg akcji czytelnik nie jest zorientowany, skąd, z jakiej strony należy spodziewać się rozwiązania. Złośliwe anonimy, pisane przez tajemniczą osobistość na jedną z towarzyszek pracy w wielkim biurze inżynierskim trafiają do kilku instancji, powodują wysłanie komisji, stają się powodem zerwania narzeczeństwa, przykrości i plotek. Autor z zamierzoną szarżą wyjaskrawia schematyzm, biurokratyczną postawę i tchórzostwo wielu postaci, którym przeciwstawia zdrowy klimat środowiska, broniącego się przed spłycaniem i małostkowością. Szczególnie postaci kobiece w scenach w biurze inżynierskim są żywe i prawdziwie ujęte.

Właściwy, stojący poza wszelkimi podejrzeniami sprawca anonimowej intrygi, lichy, pasożytujący na pracy innych człeczyna, zostaje odkryty najniespodziewaniej dzięki własnemu synowi — pionierowi Saszy.

Komedia jest napisana z werwą, ma wiele satyrycznie trafnych momentów, realistycznych sytuacji i charakterów.

lk

NOWE DANE O PUSZKINIE

Dnia 9 lutego br. w związku ze 116-tą rocznicą śmierci A. Puszkina odbyło się w Centralnym Domu Literatów w Moskwie posiedzenie Komisji Puszkinowskiej, na którym A. Błagoj wygłosił referat „Puszkin w walce z burżuazyjnym Zachodem", a pisarz N. Nowikow odczytał wyjątki ze swojej nowej powieści „Puszkin na wygnaniu".

Błagoj zwrócił w swoim referacie uwagę, że Puszkin w jednym ze swoich ostatnich artykułów pisał o burżuazyjnej Ameryce, która „wyłoniła się przed światem w całym jej wstrętnym cynizmie, okrutnych przesądach, nieznośnym tyraństwie". Puszkin z oburzeniem mówił o niewolnictwie Murzynów i krwawym wyniszczaniu Indian.

t. ż.

O PREMIERZE „HALKI" W CHARKOWIE

Kilka tygodni temu mieszkańcy Moskwy żegnali polskich artystów, których gościnne występy były kulturalnym przeżyciem nie tylko dla mieszkańców stolicy, ale i dla całego społeczeństwa radzieckiego.

Transmisji radiowych oper Moniuszki: „Halka" i „Straszny Dwór", w wykonaniu zespołu poznańskiej opery, oraz koncertu polskich artystów z udziałem pianistki Czerny-Stefańskiej, skrzypaczki Wandy Wiłkomirskiej, zespołu pieśni i tańca „Mazowsze" z jednakowym zainteresowaniem słuchali ludzie zamieszkujący daleki Sachalin i słoneczny Krym. Rosyjscy ludzie lubią polskie ludowe pieśni, ludowe tańce, świadczy o tym przede wszystkim fakt, że w twórczości klasyków rosyjskiej muzyki spotykamy nieraz polskie melodie. W Związku Radzieckim niezwykłą popularnością cieszy się muzyka Fryderyka Szopena, Henryka Wieniawskiego, Karola Szymanowskiego, Andrzeja Panufnika, znani są utalentowani polscy artyści: Grzegorz Fitelberg, Ewa Bandrowska-Turska, Halina Czerny-Stefańska, Wanda Wiłkomirska.

Rosyjscy słuchacze lubią utwory Moniuszki, szczególnie zaś jego nieśmiertelną „Halkę", która od XIX w. stanowi stałą pozycję repertuarów wielu teatrów Związku Radzieckiego.

Premiera opery „Halka" w Charkowskim Państwowym Teatrze Opery i Baletu odbyła się 4 stycznia 1953 r.

Na uznanie zasługuje praca zespołu artystycznego teatru, a w szczególności: reżysera W Sklarenko, zasłużonego artysty ukraińskiej republiki, dyrygenta P. Bolenko, kierownika baletu J. Dogina i kierownika chóru E. Konoplowej. Głęboka społeczna idea „Halki" i muzyczne wartości opery wzbudziły w artystach zainteresowanie i przyczyniły się do właściwej interpretacji utworu. Ponadto muzyka wspaniale charakteryzowała postacie i przewodnią ideę opery. Chór opery charkowskiej liczący ponad 100 osób, pod kierownictwem Konoplowej wykonał swoje partie czysto i z głębokim wczuciem się w swoją rolę, zwłaszcza w trzecim akcie, w którym protest narodu przeciwko pańskiej krzywdzie był wydatnie podkreślony zarówno z muzycznego jak i z dramatycznego punktu widzenia.

Balet pod kierownictwem Dogina umiejętnie wydobył narodowy charakter pięknych polskich tańców. Publiczności szczególnie podobał się taniec zbójnicki w trzecim akcie. W roli Halki L. Micner dzięki wysokim talentom wokalnym i scenicznym potrafiła stworzyć tragiczną postać chłopskiej dziewczyny i wyrazić ewolucję uczuć Halki od bezgranicznej ślepej miłości i marzeń o szczęściu, do buntu przeciwko zdradzie umiłowanego panicza i bezsilnej rozpaczy. M. Borowy, dobry tenor dramatyczny stworzył przekonywającą postać Jontka. Publiczności szczególnie podobała się sławna aria Jontka w czwartym akcie, popularna u radzieckich słuchaczy.

Z dużym uznaniem spotkała się gra artysty M. Grigoniewa w roli Janusza i artysty Biłyckiego w roli stolnika.

Estetyczne dekoracje artysty I. Nazarowa podkreślały specyfikę i piękno bogatej polskiej przyrody.

Największym osiągnięciem artystycznym zespołu charkowskiej opery jest wydobycie życiowej prawdy zawartej w nieśmiertelnym utworze Moniuszki, stworzenie typowych ludowych obrazów i charakterów, odtworzenie ducha polskiego narodu. Wystawienie „Halki" Moniuszki na scenie charkowskiego teatru opery i baletu to jeszcze jeden wkład w sprawę umocnienia kulturalnych i przyjaznych stosunków między radzieckim i polskim narodem.

Jadwiga Molska
studentka Charkowskiego Uniwersytetu

KU CZCI JAROSŁAWA GAŁANA

W Łucku odbyło się niedawno uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci wybitnego pisarza ukraińskiego Jarosława Gałana, który zginął w r. 1949 z rąk faszystowskich skrytobójców. Tablicę wmurowano w domu przy ul. Sienkiewicza 31, gdzie mieściło się swego czasu gimnazjum, w którym wykładał Gałan.

Jarosław Gałan urodził się w Dynowie, studia uniwersyteckie ukończył w Krakowie. W latach 1929 — 1932 był jednym z kierowników czasopisma rewolucyjnych pisarzy zachodnio-ukraińskich „Wikna" („Okna") we Lwowie. W roku 1936 brał udział w lwowskiej demonstracji bezrobotnych, która skończyła się starciami z policją oraz w Lwowskim Kongresie w Obronie Kultury. Rozkwit jego talentu przypada na lata po zjednoczeniu ziem zachodnio-ukraińskich z USRR.

Za swój zbiór pamfletów antywatykańskich został pośmiertnie odznaczony Nagrodą Stalinowską.

Pisarza tego łączyły liczne więzi z Polską, był on osobistym przyjacielem i współbojownikiem wielu polskich pisarzy.

t. ż.

Z CZECHOSŁOWACKICH DYSKUSJI O LITERATURZE

„Piszcie prawdę" z tym apelem zwraca się do pisarzy redakcja „Literarnich novin" w artykule pt. „Pisarze i nowi ludzie naszej pięciolatki". Wypowiedź ta jest zamknięciem dyskusji jaka rozgorzała wokół tematyki współczesnych powieści. Wywołał ją artykuł Jerzego Marka, wybitnego literata, laureata nagrody państwowej pt. Budowle socjalizmu — wielki temat i wielki dług naszej literatury („Literarni Noviny" 38/52). Marek stwierdził, że literatura nie nadąża za rozwojem nowego życia, którego rozmach przejawia się w pracy robotników w fabrykach i w budownictwie. Przyczyna tego niedostatku współczesnej literatury tkwi w małej trosce Związku Literatów Czechosłowackich o poziom ideologiczny pisarzy, w złej organizacji podróży w teren, braku odpowiedniej współpracy redakcji „Literarnich Novin" z autorami, wreszcie niewystarczającej pomocy pisarzom w terenie udzielanej ze strony czynników administracyjnych. Artykuł redakcji ma za zadanie przedstawić i wyjaśnić te sprawy, które nie zostały poruszone lub rozwiązane w dyskusji, bądź błędnie naświetlone.

Nieodzownym warunkiem powstania prawdziwie realistycznego dzieła o tematyce współczesnej jest znajomość życia przez jego autora. Nie ma recepty na drogę poznania rzeczywistości. Jedno jest pewne, że pisarz winien w niej widzieć zarodki przyszłości. Umiejętność odkrycia typowych rysów nowego, zdolność przewidywania, zależy w dużej mierze od wyrobienia ideologicznego pisarza. Jego postawa ideologiczna wyraża się m. in. w jego zachowaniu podczas pobytu na warsztacie pracy. Praca literata nie da dobrych wyników, jeśli okaże się on tylko zbieraczem materiałów a nie bojownikiem postępu i miłośnikiem ludzi. Samo zapoznanie się z techniką pracy opisywanego środowiska nie wystarcza, należy uczestniczyć w jego pracy kulturalnej i agitacyjnej przez aktywny udział w wieczornicach, wygłaszanie odczytów i pogadanek. Taki wzajemny kontakt pisarza ze środowiskiem jest dla obu stron bardzo pożyteczny. Podróże literatów czechosłowackich w teren spełnią swoje społeczne zadanie o ile będą ściśle związane z planem twórczym pisarza oraz o ile czas ich trwania będzie wystarczająco długi dla zapoznania się z problematyką opisywanego środowiska. Związek Literatów Czechosłowackich nie analizował dostatecznie wyników twórczych podróży terenowych. Stąd płyną stale powtarzające się błędy u autorów powieści: przewaga opisów technicznych przy zaniedbywaniu najważniejszego problemu -człowieka i jego udziału w budowie nowego państwa. Mimo licznych powieści, dramatów i nowel o wielkich budowlach socjalizmu, Związek zbyt rzadko zwraca się do literatów z apelem o podejmowanie tego tematu, w którym najwyraźniej odzwierciedla się oblicze nowego człowieka. Redakcja „Literarnich novin" mało do tej pory publikowała artykułów, w których rozmach współczesnego życia znalazłby właściwe odbicie, nie współpracowała ona również dostatecznie z autorami celem skierowania ich twórczości na właściwe tory. Pisanie o wielkich budowlach socjalizmu wymaga wielkiego wysiłku twórczego i poświęcenia się całkowitego tej pracy. Stąd konieczność specjalnej pomocy finansowej dla autorów pracujących nad tym zagadnieniem i zwolnienia ich ze wszystkich obowiązków przeszkadzających w twórczości. Pisarze winni aktywnie pomóc społeczeństwu w realizacji planu pięcioletniego. Z kolei im również należy się właściwa pomoc i opieka nie tylko po to by im ulżyć w ciężkiej i odpowiedzialnej pracy lecz także by przyśpieszyć rozwój literatury.

P. I. F.

Z życia Z.L.P.

PAMIĘCI ELUARDA

Dnia 25 lutego br. we środę w sali Domu Literatów odbyło się zebranie sekcji poezji poświęcone pamięci Pawła Eluarda.

Zbigniew Bieńkowski w obszernym referacie omówił życie i twórczość poety.

Na zakończenie wiersze Eluarda w oryginale i w tłumaczeniu polskich poetów odczytał artysta Teatru Narodowego, Zygmunt Maciejewski.

W. O.

O BŁĘDACH LITERATURY W ROKU UBIEGŁYM

Głównym problemem zebrania Sekcji Prozy przy warszawskim oddziale ZLP w dniu 23 lutego 1953 r. i zagajenia wygłoszonego przez Andrzeja Brauna była analiza niebezpieczeństw i błędów literatury w ubiegłym roku. Mówca zwrócił uwagę na dający się w niej zaobserwować odwrót od współczesności, stanowczo za słaby jej związek z życiem i potrzebami wznoszącego zręby socjalizmu kraju. Braun przypisał sporą część odpowiedzialności za ten stan rzeczy krytyce literackiej, która — zaszokowana zjawiskiem schematyzmu — zatraciła na rzecz tego zwężonego zagadnienia zainteresowanie dla podstawowego problemu literatury realizmu socjalistycznego: dla bohatera pozytywnego. Proces przeobrażania się narodu polskiego w naród socjalistyczny stworzył już takie jego cechy, jak nowy stosunek do pracy. Krytyka nie zawsze chodziło o ukazywanie człowieka w działaniu. Literatura nie podjęła wielu dostrzegła tego deprecjonując pojęcie „powieści produkcyjnej", podczas gdy wiadomo, że w realistycznej literaturze ważnych konfliktów naszej współczesności, wielu spraw świadczących o zakorzenieniu w świadomości ludzkiej cech, które umożliwiały często przenikanie wrogich wpływów ideowych. Braun zakończył swoje zagajenie apelem o stworzenie literatury związanej w pełni z życiem, walką i sprawami narodu, literatury, która byłaby sumieniem swojej epoki.

W dyskusji *Kazimierz Brandys* podkreślił, że referat Brauna mimo szeregu niedopowiedzeń uderzył w sedno spraw nurtujących ostatnio wielu pisarzy, podjął w ciekawy sposób zagadnienie walki z niesłuszną opinią, jakoby nie można było stworzyć dobrej literatury współczesnej. *Jerzy Putrament* wskazał na konkretne przyczyny polityczne wystąpienia Brauna. Intencją jego było ściślejsze związanie literatury ze współczesnością, przestrzeżenie przed niebezpieczeństwami zapóźnień i błędów w rozwoju literatury. Przeciwstawił się natomiast zbyt ostrej krytyce obecnego stanu naszej literatury w zagajeniu Brauna. Walkę z wrogimi opiniami i uprzedzeniami w stosunku do literatury współczesnej, pojawiającymi się niekiedy w środowisku literackim, podjęli również w swych wypowiedziach dyskusyjnych *Jacek Bocheński* i *Ryszard Matuszewski*. Poza tymi wystąpieniami wynikła w dyskusji nie dość konkretnie i niefortunnie ujęta sprawa stosunku wydawnictw do tematyki współczesnej, której przeanalizowania nie można zastąpić metodą osobistych skarg i zażaleń.

sad.

ZEBRANIA SEKCJI TWÓRCZYCH ZLP

Zarząd Warszawskiego Oddziału ZLP komunikuje, że najbliższe zebrania Sekcji Twórczych odbędą się:

Dnia 9 marca br. w poniedziałek o godzinie 16 Sekcja Prozy. Referat pt. „Żukrowski wśród swoich krytyków" wygłosi Janina Preger.

Dnia 10 marca br. we wtorek o godzinie 16 Sekcja Dramatu. Temat: „Nasz stosunek do dramatu doby romantyzmu". Referuje St. Treugutt.

Dnia 11 marca br. we środę o godzinie 17 Sekcja Poezji. Referat pt. „O twórczości i krytyce poetyckiej" (na materiale tomików wierszy Ficowskiego, Hołdy, Kamieńskiej, Kubiaka, Szymborskiej, Wirpszy) wygłosi A. Braun.

Dnia 12 marca br. we czwartek o godzinie 16 zebranie Sekcji Satyry, poświęcone omówieniu dwóch nowych tomików Józefa Prutkowskiego.

ŁÓDZKA NARADA W SPRAWIE DWUTYGODNIKA SPOŁECZNO-KULTURALNEGO I LITERACKIEGO

W Łodzi dnia 15 lutego 1953 r. w Związku Literatów Polskich odbyła się narada dyskusyjna, poświęcona sprawie założenia terenowego dwutygodnika społeczno-kulturalnego i literackiego.

Narada odbyła się z udziałem przedstawicieli KŁ PZPR, PRN m. Łodzi, Woj. Rady Narodowej, Uniwersytetu Łódzkiego i Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, Związków Twórczych (Plastyków, Muzyków, Filmowców i Aktorów), SPATiF-u, Instytucji Kulturalnych, SARP-u, NOT-u i licznie zebranych pisarzy. Uczestnicy zebrania Dyskusyjnego stwierdzili, że wielkość rewolucji kulturalnej, jaką w warunkach Polski Ludowej przeżywa Łódź i jej okolice, wymaga stworzenia ośrodka, skupiającego i upowszechniającego wszystkie wysiłki kulturalne, zmierzające do przyśpieszenia przemian w świadomości klasy robotniczej, chłopstwa i inteligencji pracującej. Takim ośrodkiem może i powinna być redakcja dwutygodnika społeczno-kulturalnego i literackiego, obejmującego zakresem swej problematyki potrzeby terenu.

Zebrani gorąco poparli inicjatywę Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich w sprawie założenia dwutygodnika i zadeklarowali pełną gotowość współpracy przy realizacji potrzebnego pisma.

Na zakończenie zebrani uchwalili wysłanie rezolucji, dotyczącej pisma, do KC PZPR i Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich.

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Żurawia 32, I p. Tel. 7 36 23. Adres administracji Warszawa, ul. Wiejska 12, tel 7 52 50. Wydaje RSW „Prasa"
Kolportaż: P P K „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul Srebrna 12, tel 804 20 do 25 Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4 60, kwartalnie zł 13 80, półrocznie zł 27 60 rocznie zł 55 20 Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm^2 Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I 5589.111, tel 7 38 05 Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „PRASA" Warszawa, Marszałkowska 3/5.
4-B-11489